

PL. 18844 0137-1100 Ny Lubelsku 50251

WYDZIAŁ
CZASOPISNIA
LUBELSKIEGO

O czym marzy dyrektor Wdowiakowa?

STR. 5

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 9 (855)

4 maja 1986

Cena 15 zł



**Oficer
Zgrupowania
Commando**

STR. 8

Tomasz A. Włodkowski

* * *

Zonie

*budujemy gniazdo swoje
wysoko na drzewie
tak by wiatr w nocy
dobrych snów nie wywiał
klecimy półki na książki
w kącie kładziemy materac
jakiś biurko
na nim parę zielonych gałązek
to wszystko*

*a popołudniami z książkami
bo one też fruwać potrafią
wylatujemy na spacer
gdy się ściemnia wracamy
książki siadają na półkach
jak na grzędzie
odpoczywają
my zasypiamy*

Gosia z rybą w marmoladzie
STR. 12



SADURSKI.

Rys. Szczepan Sadurski

**Dolarowy
weekend**

STR. 8-9

Beckett

STR. 6-7

STR. 3

Święta pierwszomajowe w Lublinie

Na przykładzie „Odczynników” i WSK Cztery pytania Tez

Tadeusz Jasiński

W CZASIE ostatniego planu trzyletniego menażerowie przemysłu, a nawet dyrektorzy niedużych zakładów, utyskiwali, że brakuje im rąk do pracy. U progu obecnej pięcioletki wielu z nich mówi wręcz, iż nie mogą podnieść produkcji — z tej samej przyczyny. A tymczasem robotnicy ujawniają niedomogi organizacyjne, niekonsekwencje placowe, przerosty administracyjne, itp. Nie przypadkiem w piętnastym punkcie Tez do przedzjazdowej dyskusji zadano wprost następujące cztery pytania:

Co zrobiono dla poprawy organizacji i dyscypliny pracy?

Czy wyczerpane zostały wszystkie wewnętrzne rezerwy zatrudnienia?

Czy podjęto przygotowania do atestacji stanowisk roboczych?

Czy zwrócono się z ofertą pracy do emerytów i rencistów wywodzących się z przedsiębiorstwa?

Odwiedziłem dwa różnej wielkości przedsiębiorstwa, aby zadać te właśnie pytania: mały — w Lublinie i duży — w Świdniku. Rozmawiałem z pierwszymi sekretarzami partii oraz z ludźmi, którzy po-

magali nam te nietrawne zagadnienia rozwinąć i objaśnić. Znalazłem zakład, w którym kierownictwo musiało sprostać zwiększonym zadaniom, mimo że załoga wciąż malała, także część zatrudniona w administracji. Jeszcze w grudniu 1982 roku pracowało w nim 420 osób, a teraz jedynie 330. Ludzie masowo przechodzili na drugą stronę ulicy Melgiewskiej, by zatrudnić się w FSC, a przede wszystkim w nowo zbudowanym „Ursusie”, gdzie płacilo się lepiej. Ostatnio nastąpiły jednak korekcyjne zmiany dla zakładu Polskich Odczynników Chemicznych. Dotąd każdego roku odchodziła połowa załogi, obecnie jedna czwarta. Jest lepiej, ale jeszcze nie można tego uznać za normalne. Niektórzy wracają. Dlaczego? Bo i w „Odczynnikach” można teraz zarobić.

Przede wszystkim znacznie udoskonalono organizację pracy, a to sprawiło, że i wyniki produkcyjne są lepsze. Wyzwolono też bodźce mające na celu poprawienie dyscypliny pracy. Ujawniły się one pod wpływem rzetelnego zastosowania zasad reformy gospodarczej, odkryto wewnętrzne rezerwy i je wykorzystano. Dokładniej i jaśniej usta-

lono obowiązki grup produkcyjnych i wchodzących w ich skład pojedynczych pracowników. Nadto ośmiu spośród 23 (zakład jest młody, dlatego tych co odpoczywają, tak mało) emerytów i rencistów wróciło do pracy na pełne lub na półetaty. Można więc powiedzieć, że dokonano tam już w sporym stopniu tego, o co we wspomnianym piętnastym punkcie Tez chodzi.

Jest w tym także udział 31 członków PZPR, stanowiących dziesięć procent załogi. Ryszard Kurza, I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, który pracuje jako mistrz w służbie utrzymania ruchu, uważa, iż wiele zmieniło się w dziedzinie dyscypliny pracy właśnie w momencie liberalizacji jej zasad. Jest lepiej niż to było wcześniej, gdy stosowano rygory. W „Odczynnikach” istnieje możliwość tzw. płynnego rozpoczynania i kończenia pracy. Rozliczają się w samej grupie robotniczej, podlegają uwadze kolegów, koleżanek i mistrzów, a dopiero potem kierowników. Dojeżdżający ze Świdnika lub innych miejscowości w razie spóźnienia nie muszą się niczego obawiać. Podobnie jest, gdy jakaś życiowa sprawa zmusza ich do załatwienia czegoś na zewnątrz w godzinach pracy. Odpracują, niekiedy z nawiązką: przychodzą transport — dodatkowe wagony, samochody; pakowanie produktów, wysyłanie większych ilości, bo nagle wzrosło zapotrzebowanie. Jest jakby większa świadomość, poczucie wolności, ale i obowiązku. Znamionuje to także kobiety posiadające dzieci, niektóre pracują na niepełnych etatach. Większość czynności objęta jest normami akordowymi, więc rozliczenie czasu pracy w każdej grupie jest rzeczywiste: nikt nie zechce pracować na obiboka. Taki po prostu nie utrzymałby się w zespole.

z notatnika

14 IV. Z dużym opóźnieniem dotarła do mnie wiadomość o śmierci w listopadzie ubr. Czesława Morawskiego, poety z kręgu chełmskiej „Kameny”, który na jej łamach debiutował bodaj w 1933 roku. Czesław, nauczyciel z wykształcenia, żołnierz Ludowego Wojska Polskiego, należał do pionierów — krzewił polskość na Ziemiach Zachodnich, pisał wspomnienia. Sądzę, że w przyszłości warto chociażby część tych wspomnień opublikować bądź na łamach „Kameny” bądź też prasy szczecińskiej, bowiem z tym regionem Czesław związał wiele lat swego życia. Zegnaj, Przyjacielu!

18 IV. Tym razem Klub Redakcyjny SD PRL zorganizował swoją sesję wyjazdową w Łodzi i w woj. piotrkowskim. Temat: Organizatorska rola prasy. Dyskusja była dość interesująca, chwilami kontrowersyjna. Ktoś nawet powiedział, że sprawa podstawowa jest wydawanie pisma, a zespoły redakcyjne nie powinny zastępować instytucji, powołanych m.in. do organizowania masowych imprez.

Mieliśmy okazję spotkać się z przedstawicielami władz woj. piotrkowskiego i w swobodnej atmosferze poznać problemy nurtujące to młode województwo. Najbardziej pouczającym punktem programu sesji stał się jednak pobyt w Belchatowie. Jeszcze jedenastcie lat temu miasto to liczyło zaledwie 10 836 mieszkańców, których głównym źródłem zarobkowania był przemysł bawełniany. Dziś liczba mieszkańców miasta wzrosła niemal pięćkrotnie i prezydent zastąpił... naczelnika. W okresie dziesięciolecia wybudowano tu 9041 mieszkań o łącznej powierzchni

ponad pół miliona metrów kwadratowych!

Awans Belchatowa wiąże się z powstaniem Zagłębia Górniczo-Energetycznego. Tutejsze złoża węgla brunatnego należą do typu złóż tektonicznych zapadlikowych. Tworzą one pas długości ok. 34,2 km i szerokości od 1,2 km do 2 km o miąższości od kilku do 150 m, przy średniej grubości 55 m. Wartość opałowa węgla waha się od 1000 do 2600 kcal/kg. Naturalne warunki występowania i budowy geologicznej dzielą złoża na trzy części zwane polami: Kamięńsk, Belchatów i Szczerców. W pierwszej kolejności przystąpiono do eksploatacji złoża Belchatów. Było to w 1980 r. Wydobyte węgla rośnie stale: od 4 tys. ton w 1980 r. do 18 milionów ton w roku ubiegłym. Plan na bież. rok przewiduje wydobyć 23 milionów ton. Nie jest to ostatnie słowo: w 1986 r. wydobyć ma wynieść 38—40 mln ton. Wówczas w elektrowni będzie już pracować 12 turbozespołów.

Elektrownia w Belchatowie to największe przedsięwzięcie inwestycyjne w historii polskiej energetyki. Obecnie pracuje siedem (z zaplanowanych dwunastu) bloków energetycznych. Od czasów uruchomienia pierwszego i następnych sześciu bloków, a więc od 29 grudnia 1981 r., wyprodukowano tu ponad 30 mld kWh energii elektrycznej, zużywając ponad 43 miliony ton węgla. Pełną moc ma elektrownia uzyskać w 1988 r., co pozwoli na roczną produkcję w wysokości 28 mld kWh energii elektrycznej.

Przytaczam te wszystkie dane, ale co one w istocie oznaczają? Przekonałem

się dopiero wówczas, kiedy sięgnąłem do Małego Rocznika Statystycznego z 1935 r. Jak z niego wynika, mieliśmy w 1934 r. w całej Polsce 2600 elektrowni i one wszystkie dały tylko 2,65 mld kWh! Inaczej mówiąc, w 1988 r. elektrownia belchatowska wyprodukuje 10,5 raza więcej energii niż te wszystkie przedwojenne! Ta jedna elektrownia belchatowska da dwukrotnie więcej energii elektrycznej niż w 1933 r. wynosiła produkcja całej Francji! Oczywiście, tam też czas w miejscu nie stanął, ale przytoczone liczby są nad wyraz wymowne.

Obejrzelśmy i kopalnię i elektrownię, ale co można zobaczyć w przeciągu trzech godzin? Byłem jeszcze świeży po wrażeniach z Nowej Huty. Nie silę się na porównania, ale przyznam, że Belchatów jeszcze bardziej mi imponował, tu już się widzi XXI wiek. Zakładana i potwierdzona w praktyce, jak nam mówiono, dyspozycyjność bloków na poziomie 82 proc. w skali roku stawia belchatowską elektrownię w czołowej światowej grupie wytwórczych energii elektrycznej podobnego typu. Wysoki poziom automatyzacji procesów technologicznych oraz komputeryzacja procesów informacyjnych — decyzyjnych w kierowaniu ruchem pozwala ograniczyć obsługę bloku do niezbędnego minimum ośmiu-dziewięciu osób na zmianę. Ważna jest też troska o ochronę środowiska naturalnego. Elektrostatyczne odpylacze spalin pracują ze skutecznością 99,6—99,8 proc. Jeszcze kilka liczb, które obrazują wielkość tej inwestycji. Zużyto ponad 200 tys. ton konstrukcji stalowych, 60 tys. ton stali zbrojeniowej i ponad milion m sześć. betonu.

Dobrze, że do tego Belchatowa pojechaliśmy. Przyznam, że był to dla mnie zastrzyk optymizmu. Sądję, że nawet największy malkontent, a tych przecież u nas nie brakuje, miałby tu co oglądać. I może zacząłby myśleć nieco inaczej...

26 IV. Marek Żbikowski, szef zamajskiego TWP, zaprosił mnie — w przededniu otwarcia Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy — na spotkanie z młodzieżą szkolną, głównie z klas siódmych i ósmych. Z przyjemnością odnajdywałem czytelników moich „Drewnianych szabel”. Znamienne, że im dalej od stolicy województwa, tym serdeczniejsza była atmosfera, a pytania dotyczyły wielu zagadnień również z zakresu tzw. wielkiej polityki. Szczególnie miło wspominałem gościnnie w Pułkowie, blisko Łaszczowa, gdzie po godzinach lekcyjnych ponad dwie godziny rozmawiałem z młodzieżą, odpowiadając na dziesiątki pytań. A w takiej na przykład szkole w Dobużku było to, jak mi mówiono, „pierwsze w jej dziejach spotkanie z redaktorem”. Przyszłość pokaże, ale może zdobyłem też nowych sympatyków „Kameny”?

Jeszcze raz przekonałem się, że i młodzież ze szkół podstawowych, a nie tylko średnich, należy do wdzięcznych słuchaczy.

27 IV. Motor nie tylko utrzymał się w I lidze piłkarskiej, ale w ostatecznym rachunku zdołał nawet wyprzedzić gdańską Lechię i zajął czwarte od końca miejsce w tabeli rozrywek. Tym razem w niedzielę nie było cudów: do II ligi został obok Zagłębia Sosnowiec zdegradowany Bałtyk, czego już wcześniej należało się spodziewać. Należało, ale w przeszłości bywały różnego „niespodzianki”. Gratuluję więc zawodnikom Motoru i życzę im, aby w przyszłym sezonie nie denerwowali tak do ostatniej chwili swych ciagle wierzących kibiców.

Niestety, nie powiodło się naszym hokeistom, którzy spadli z pierwszej do drugiej grupy. A tak się pięknie zaczęło od zwycięstwa nad Czechosłowacją! Jak się okazało, jedynego, no i, na pożegnanie, jedynego też remiszu z RFN, który jednak niczego już nie zmienił...

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

Filarmonia Lubelska wciąż podtrzymuje zwyczaj zapraszania na gościnne występy znakomych, sławnych artystów. 18 kwietnia na estradzie PFL wystąpił solista światowej klasy baryton Andrzej Hiłski.

Minęła niedawno 200 rocznica urodzin Józefa Lelewela. W gmachu Biblioteki Głównej UMCS otwarta została interesująca wystawa prezentująca dorobek Lelewela w zakresie historii, bibliografii, nauk pomocniczych historii.

W lubelskim kinie „Kosmos” odbyła się niedawno premiera filmów „Rajska jabłoń” i „Dziewczęta z Nowobłok”.

W dniach 17—20 kwietnia w Lubelskim Domu Kultury odbywał się kolejny przegląd Miejskiej Sceny Amatora. Tym razem zaprezentowały się teatry młodzieżowe. W programie znalazły się inscenizacje bardzo ambitnej literatury, m.in. „Lysiej śpiewaczki” Ionesco, „Polowania na lisa” i „Lata” Mrożka, a także spektakle oparte na tekstach własnych młodych adeptów sztuki teatralnej.

Ukazał się kolejny numer Zamajskiego Kwartalnika Kulturalnego. Wydawnictwo, jak zwykle, przynosi teksty poświęcone historii, kulturze, informację o najnowszych zdarzeniach w życiu kulturalnym regionu.

Program reform społeczno-gospodarczych Stanisława Staszica będzie tematem sesji popularyzacyjnej, którą z okazji Roku Staszycowskiego organizuje w Zamocisku Wojewódzki Komitet Stronnictwa Demokratycznego. Sesja rozpocznie się 2 maja o godz. 11 w sali „Consulatus” zamajskiego ratusza. Referaty wygłoszą: prof. dr hab. Tadeusz Monecal oraz doc. dr hab. Zbigniew Wójcik. Druga część sesji odbędzie się w Hrubieszowie.

By pozostać jeszcze przy sprawach kultury Zamajczyzny: poeci z tego regionu (a jest ich podobno kilkunastu) powołali przy Wojewódzkim Domu Kultury w Zamocisku klub literacki, którego szefem został Krzysztof Konopa.

24 kwietnia minęła setna rocznica urodzin wybitnego polonisty, badacza dzieł polskiej literatury, autora monumentalnych monografii o Krasińskim, Mickiewiczu, Słowackim, profesora Juliusza Kleina. Przez kilka powojennych lat prof. Kleiner związany był z Katedrą Literatury Uniwersytetu Lubelskiego. Dla uczczenia pamięci wybitnego naukowca Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza i Muzeum im. J. Czeczowicza w Lublinie zorganizowały 21 kwietnia uroczysty wieczór, wypełniony ciekawymi referatami, wspomnieniami. „O Kleinerze — po latach” opowiadał prof. Stefan Sawicki, doc. Danuta Paluchowska mówiła na temat: „Kleiner jako badacz Mickiewicza”.

Od 21 do 30 kwietnia w Teatrze im. Osterwy odbywała się Lubelska Wiosna Teatralna. Wypadnie wyliczyć przynajmniej najnamacalszych gości tej imprezy: Teatr Polski z Warszawy ze sztuką Eliota „Lord Claverton”, Teatr Studio z „Konecowa” i

„Katastrofą” Becketta, Teatr im. Jaracza z Łodzi z przedstawieniem „Gorzkich lez Petry von Kant” Fassbindera, Teatr Kwadrat z Warszawy, ze współczesną komedią francuską „Miłość jedno ma imię... Joel”. Jeszcze na długo przed rozpoczęciem imprezy kasa teatru była nieustannie obleżona. Największym zainteresowaniem publiczności cieszył się podobno „Lord Claverton”, ze względu na znakomite kreacje aktorskie.

Na gorący apel Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Lublina powoli zaczynają napływać skromne i nieco większe obywatelskie i społeczne datki. Środowiska twórcze, pracownicze, rzemieślnicze i studenckie oraz zakłady pracy nie pozostały obojętne na wołanie o pomoc na rzecz ratowania materialnego dziedzictwa dawnych dzieł Lublina. Konto „N”, to nadzieja dla realnej, a nie kosztownej i trudnej odnowy zabytków naszego miasta. I my zwracamy się do naszych Czytelników o zainteresowanie i przychylność dla tej wielkiej — nie tylko dla lublinian — sprawy, podając numer konta: Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Lublina, NBP II O/Lublin 42823-1933-122.

Związek Inwalidów Wojennych PRL Zarząd Oddziału Lublin „Pohodnie” uroczystą akademią w dniu 28 kwietnia br. oraz koncertem w wykonaniu uczniów Państwowego Szkoły Muzycznej Stopnia Podstawowego i Licealnego w Lublinie zaakcentował kończący się Miesiąc Pamięci Narodowej. Kombatantom, działaczom związku i gościom (także i naszej redakcji) wręczone zostały odznaczenia i dyplomy. Akademia była także przypożegnaniem 65-lecia powstania Związku Inwalidów Wojennych jako

jednej z najstarszych organizacji kombatanckich. Z tej okazji Zarząd Oddziału planuje wydanie ciekawej monografii historycznej autorstwa ppłk. Aleksandra Marcinka.

Cztery pory roku, powściągliwy i świąteczny dzień na kieleckiej wsi, alegoryczne sceny i przypowieści w nastroju bajkowości — tak oto w skrócie ujął można oryginalną w tematyce, kolorystyce i poetyce twórczość malarstwa Eugeniusza Brojka, członka Stowarzyszenia Twórców Ludowych, laureata m.in. I-szej nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Sztuki Ludowej „Oczywista” oraz Przeglądach Twórczości Plastyki Nieprofesjonalnej w Kielcach.

Obrazy Eugeniusza Brojka oglądać jeszcze można w maju na wystawie w Królewym Domu Twórczości Ludowej w Lublinie, przy ulicy Grodzkiej 14.

Do wzięcia udziału w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. J. I. Krąszewskiego zapraszają organizatorzy: Klub Literacki „Maksyma” i Klub Kultury „Pisni” w Biłej Podlaskiej, Muzeum Biograficzne J. I. Krąszewskiego w Romanowie, Podlaskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Biłska Spółdzielnia Mieszkalna „Zemla”, Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkalnych oraz Wydział Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miejskiego w Biłej Podlaskiej. Jak również Oddział Warszawski Związku Literatów Polskich. Konkurs organizowany jest w trzech kategoriach: poezji i prozy o tematyce dozwolonej oraz eseju dotyczącego życia i twórczości J. I. Krąszewskiego. Utwory należy przesyłać do Klubu Kultury „Pisni”, ul. Nadejda 4, 21-500 Biłka Podlaska do dnia 31 lipca br.

Od dyrektora Adama Fiedora dowiaduję się o decentralizacji władzy, także jego własnej. Wszyscy z nadzoru technicznego, także kierownicy i mistrzowie, nareszcie musieli się weryfikować w praktyce konkretnej roboty, musieli nabyć więcej tzw. cywilnej odwagi, gdy chodzi o decyzje, podział pracy, nagradzanie, karanie i awansowanie. Zmniejszony zespół ludzki wykonuje te same lub większe zadania, więc i więcej zarabia. Brak owych 83 pracowników oznacza, że ci, którzy pozostali, zarabiają obecnie tyle samo, ile przedtem większa załoga i o tyle więcej, ile wynika ze wzrostu wydajności pracy i produkcji końcowej. Załoga w połowie jest kobieca, aż 83 procent pracowników nie ukończyło 30 lat. Nieobecność z powodu chorób zmniejszyła się w ubiegłym roku o 2,3 procent. Niby niewiele, ale gdzieś tam wzrosła. Dobrze rozumiana reforma po prostu wymusza swoje prawa. Niektóre komórki zostały, jako niepotrzebne, zlikwidowane, inne połączone ze względu na podobieństwo zadań. Zarówno dyrektor, jak i sekretarz uważają jednak, że zasady pracy i płacy, wprowadzone od połowy minionego roku, należy nadal usprawniać szczególnie w dziale głównego mechanika i w służbach utrzymania ruchu. Półtoramilionowa produkcja odczynników dla „Cefarmu”, „Cewetu”, „Polfy”, analityki medycznej i żywnościowej, oświaty i przemysłu chemicznego wymaga dalszego doskonalenia.

Na zupełnie inną skalę problemy tu poruszane objawiają się w Świdnickiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Rezerwy wewnętrzne, gdy idzie o robotników, stworzyła decyzja o zaniechaniu już od października ubiegłego roku produkcji moto-

cykli. Karol Szczotka, I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR, przedstawia mi korzyści, jakie z tego wynikły. Można było lepiej skoncentrować pokrewne prace, np. obróbkę mechaniczną, usprawnić czynności technologiczne, transport wewnętrzny. Słowem: zamknąć niektóre cykle produkcyjne na bliskim sobie obszarze. Dzięki temu uległy poprawie także roboty montażowe oraz gospodarka narzędziowa. Natomiast ludzie, głównie kobiety, przysposabiają się teraz w innych działach, tam, gdzie pracowników brakowało, albo gdzie produkcja ma być poszerzona. 12 procent wielkiej załogi, to członkowie partii, a 42 procent — związku zawodowego. Wśród nich i w samorządzie pracowniczym powstają koncepcje mające na celu usprawnić produkcję, kształtować atmosferę społeczną i stosunki międzyludzkie. Dyscyplinę pracy usprawnia nie tylko system nagradzania, ale i karania. Np. 130 osób pozbawiono udziału w zyskach, stosowano też inne kary regulaminowe. Kierownik Działu Osobowego, Czesław Świąder, jakby niechętnie o tym mówi, ale dowiaduję się, że 128 osób ukarano za picie alkoholu w pracy lub usiłowanie wejścia do zakładów w stanie nietrzeźwym. 32 pracowników trzeba było, zgodnie z ustawą (wnoszenie alkoholu lub powtarzanie się nietrzeźwości) — zwolnić.

Zwrócono się do tych, którzy odeszli na wypoczynek: wrócić dziesięciu emerytów, w tym trzech wartościowych inżynierów, natomiast 52 emerytów i rencistów przyjęło się. W sumie to niewiele, ale w WSK ci, którzy odchodzą na renty, mają na ogół słabe zdrowie i trudno spodziewać się, aby zbyt wielu zechciało i mogło wrócić. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego na wystarczający do-

plyw nowych ludzi liczyć nie może, bo i rocznie absolwentów szkół zawodowych oraz techników są mniej liczne. Rezerw trzeba więc szukać w czymś innym.

Redaktor naczelny „Głosu Świdnika”, Jerzy Jurak, mówi mi o widocznych już efektach dyrekcyj i kadry inżyniersko-technicznej po jej ofensywie w dziedzinie automatyzacji i komputeryzacji części procesów produkcyjnych. Zastosowano te działania bliżej stanowisk pracy, nawet w kontroli jakości. Obrabiarki numerycznie sterowane dały i dają wiele korzyści, czas już jednak byłoby iść dalej, bo w Europie, bo na świecie... Komputery najbardziej służą konstruktorom, pozwalają im pracować twórczo, w lepszym tempie, nie tracąc czasu na zwykłe i bardzo skomplikowane obliczenia. Mogą oni teraz nawet uzyskiwać — używając żargonu — wyrys techniczny, wyrys kształtu tego, co projektują.

Sekretarz Karol Szczotka opowiada mi obszernie o nadziejach związanych z nowymi typami śmigłowców — „Sokoła” i „Kania”, będących w próbach krajowych i zagranicznych. „Kania” weźmie udział w tegorocznych mistrzostwach świata w Wielkiej Brytanii. Od tego, jak wypadnie, zależy będą zamówienia zachodnie. „Sokół” spisuje się dobrze w próbach w Związku Radzieckim i powinien wkrótce uzyskać międzynarodową certyfikację. Chodzi o to, co WSK będzie produkować i sprzedawać w latach dziewięćdziesiątych; Mi-2 się zestarzał...

W obu przedsiębiorstwach, tak przecież różniących się produkcją i jej zakresem, załogi szukają wyjścia, próbując sobie twórczo odpowiedzieć na zadane w Żezach pytania.

LUBELSKIE MAJE

Mirosław Derecki

Podczas wszystkich tych pierwszomajowych świąt: w roku 1936, 1939 i 1945 panowała podobna, piękna słoneczna pogoda, było zielono i ciepło. Ale każdy z owych dni 1 Maja, mimo że mieściły się w niedługim z punktu widzenia historii, dziesięcioletnim zaledwie przedziale czasowym, przypadał na początek znaczącego w skali kraju (a w końcu także — w skali międzynarodowej) okresu politycznego i społecznego.

MAJ ROKU 1936 przebiegał w atmosferze ostrej walki klasowej, ścierała się partii i stronnictw politycznych. Był to pierwszy rok po śmierci marszałka Piłsudskiego, rok umacniania się na swej pozycji Edwarda Rydzas-Śmigłego, który w sześć miesięcy później, 10 listopada 1936 r., miał zostać mianowany marszałkiem Polski; rok niepodzielnych rządów sanacji...

Maj 1936 r. wypadł w piątek. Było to święto nieoficjalne, nie uznawane przez władze Rzeczypospolitej, choć musiały się one godzić z faktem organizowania w tym dniu przez klasę robotniczą pochodów i wieców. W pierwszomajowe święto w Lublinie pochody urządzały: Polska Partia Socjalistyczna, PPS Frakcja Rewolucyjna wraz z związkami zawodowymi oraz żydowski Bund.

PPS zbierała się przed pochodem na ulicy Zamojskiej (obecnie Mariana Buczka), PPS Frakcja na placu Bernardyńskim (plac Wolności). Jak każdego roku, tłumy robotników przemarszerowały tradycyjną trasą, wiodącą m.in. przez Krakowskie Przedmieście. Natomiast pochód Bundu nie otrzymał tego roku zezwolenia władz lokalnych na wkroczenie do centrum miasta; wyznaczona przez lubelskiego wojewodę trasa pochodu zamykała się w granicach dzielnicy żydowskiej; prowadziła z ulicy Szerokiej przez Lubartowską i Kowską w kierunku ulicy Ruskiej, a stąd z powrotem na Szeroką. Zarządzenie to było pogwałceniem wolności obywatelskich i dozwolaniem uprawiania segregacji rasowej. A przede wszystkim — znakiem czasu politycznego w życiu kraju. Przez ostatnie dziesięć lat pochody Bundu nie były ograniczane w podobny sposób. Ostatni raz zdarzyło się coś takiego w roku 1926, z polecenia wojewody Moskalewskiego; doszło wówczas do bójki i zamieszek ze Strażą Narodową, która zagroziła bundowcom drogę u początku Krakowskiego Przedmieścia. W 1936 roku w Lublinie panował spokój.

Tylko supernapastliwy, endecki „Głos Lubelski” pisał się, jakby chcąc doprowadzić do jakiejś awantury: „Jeżeli są jeszcze tacy Polacy, którzy nie wstydzą się urządzać pochodów w żydowskie święto 1 Maja, jest to okoliczność być może smutna, trudno im jednak odmówić prawa manifestowania swoich przekonań w dzielnicach polskich. Natomiast pochody Bundu, zwartej masy żydowskiej czerni, były w najwyższy sposób drażniące i na-

prawdę nie mogły być w dzielnicach polskich tolerowane”.

Następnego zaś dnia w numerze z 2 maja 1936 r. gazeta grzmiąca z dział najcięższego kalibru: „Sanacja nie ma wpływu wśród robotników. Kobiety i Żydzi w pochodzie PPS”. Po czym nastąpił „wstrząsający” reportaż specjalnego wysłannika „Głosu Lubelskiego” z trasy pierwszomajowych pochodów:

„[...] Pierwsza manifestowała Frakcja Rewolucyjna. [...] Następnie przeciągnął miastem pochód PPS CKW i klasowych związków zawodowych. Pochód był liczniejszy niż w ubiegłych latach [...]. Większość pochodu stanowiła tak zwana „lewica”, czyli po prostu komunistki, którzy w myśl hasła „wspólnego frontu” ustawili się pod sztandarami PPS. Okazuje się, że komunistki są od PPS silniejsi, dopiero bowiem ich udział sprawił, że pochód socjalistyczny nie wyglądał tak mizernie jak w ubiegłych latach. Na Lipowej urządzono wiec, na którym przemawiał m.in. dr Herszenhorn. Łączność i współpraca z Żydami podkreślana była na każdym kroku. [...] Nie obyło się tego dnia bez aresztowań. Zostało zatrzymanych na ulicy i koło lokalu Stronnictwa Narodowego sporo członków sekcji robotniczych i Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego. Hołci aresztowanych stwierdzić nie zdołaliśmy”.

NOSZĄCY DATĘ 1 MAJA 1939 r., poniedziałkowy „Express Lubelski i Wolyński” nie podawał ani jednej informacji o jakichkolwiek w tym dniu organizowanych wiecach lub robotniczych pochodach. Prawie cały numer wypełniony był tematyką polityczną, wiadomościami, które wstrząsnęły narodem, niezależnie od zapartywań politycznych i klasowych podziałów; była to reakcja na przemówienie Hitlera na posiedzeniu Reichstagu w gmachu Opery Krolla w Berlinie w dniu 23 kwietnia, w którym wypowiedział m.in. pakt o nieagresji z Polską z 1934 r., żądał powrotu Gdańska do Rzeszy, „korytarza” do Prus Wschodnich itd. Cała Polska oczekiwała kolejnych wydarzeń, a przede wszystkim — reakcji rządu polskiego. Na 5 maja zapowiedziane było przemówienie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka.

W ten piękny, słoneczny pierwszomajowy dzień, dzień czystego, spokojnego nieba i świeżej zieleni drzew, gdy termometr na Bramie Krakowskiej wskazywał w południe temperaturę 21 stopni, nad Lublinem i nad całą Polską zawiąło widmo wojny...

1 MAJA 1945 r. wypadł w środę. Trwały ostatnie dni wojny, polskie wojska wraz z wojskami radzieckimi walczyły już daleko na zachodzie, na ulicach Berlina. Lublin był wolny od

dziewięciu miesięcy i życie toczyło się już tutaj prawie normalnym, niemal pokojowym torem.

Od rana była wspaniała, słoneczna pogoda. Ciepło. Plac Litewski tonął w zieleni. Panował nastrój świąteczny. Już poprzedniego dnia udekorowano domy biało-czerwonymi oraz czerwonymi flagami. Po raz pierwszy w historii 1 Maja był świętem oficjalnym, państwowym.

Wczesnym rankiem w kioskach pojawiło się wydanie specjalne, ośmiostronicowe, „Sztandaru Ludu”, gazety codziennej Polskiej Partii Robotniczej. Pismo nosiło jeszcze „wojenny” nadtytuł w winiecie: „Śmierć niemieckim najeźdźcom”.

Całą pierwszą stronę „Sztandaru Ludu” zajmował artykuł wstępny, zatytułowany: „1 Maja”, nawiązujący do historii robotniczego święta, a także do problemów politycznych i społecznych dnia dzisiejszego. W środek artykułu wlamano w ramce tekst oraz zapis nutowy melodii „Międzynarodówki”. Na stronie drugiej — artykuł wojewódzkiego sekretarza PPR, W. Konopki: „W sprawie sojuszu robotniczo-chłopskiego” oraz „Komunikat Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego” (o sytuacji na froncie i walkach w Berlinie). Na ósmej stronie — dwa wiążące się tematycznie z dniem pierwszomajowego święta wspomnienia: W. Zdunka, sekretarza KW PPR — „1-maja na Zamku w sanacyjnym więzieniu w Lublinie. Ze wspomnień byłego więźnia politycznego”, oraz wojewody lubelskiego Stefana Różgi — „1-maja 1944 r. w szeregu Armii Ludowej w walce z okupantem”.

„[...] Cały batalion ppłk. Borkowskiego — wspominał tak niedawno, a przecież już odległe czasy Stefan Różga — zebrał się (tego dnia) razem z ludnością wsi Flisy leżące w okolicach Janowa Lubelskiego. Ustawieni w czwórki żołnierze słuchali mówców; odbywał się 1-majowy partyzancki wiec. Miejscowa ludność znała partyzantów; nieraz im pomagała, wielu młodych z tej wsi walczyło w oddziale. Ludzie słuchali w skupieniu... Wszyscy są wzruszeni; padają słowa: «To już ostatni 1-szy maja w niewoli! Następny 1-szy maja będziemy świętować w odbudowanej Olszynie. W Olszynie, która sami wywalczymy; w Polsce Ludowej! Po wiecu pomarszerował oddział na zasadkę na Niemców, pod wiec Domostany, po walce jaka się wówczas wywiązała — i po wycofaniu się Niemców, którzy mieli zabitych i rannych — okazało się, że tego dnia poległ w walce także jeden z partyzantów, Broniek zza Buga. [...]”

Od rana — wszystkie pochody kierowały się na plac Litewski, główny, centralny plac Lublina.

„Plac był wypełniony po brzegi ludźmi — relacjonował w numerze z 2 maja dziennikarz „Sztandaru Ludu”. — Nad ich głowami — sztandary. Nad tłumem wykwitają dziesiątki sztandarów, transparentów, hasel. Czerwone sztandary organizacji robotniczych obok państwowych biało-czerwonych oraz zieleni sztandarów Stronnictwa Ludowego, Samopomocy Chłopskiej i Łęczego — Spółdzielców. Z balkonu DOK zgromadzonych witają przedstawiciele partii i organizacji społecznych, władz państwowych i wojskowych. Wojewoda lubelski tow. Różga, przewodniczący Woj. Rady Narodowej ob. Czugała, sekretarze Woj. Komitetu PPR — tow. tow. Konopka i Zdunek, sekretarz WKR PPS ob. Stypulkowski, przedstawiciel PPS, rektor UMCS ob. Raabe, prezes Woj. Zarządu Stronnictwa Ludowego ob. Wójcik. Liczne delegacje działaczy Związków Zawodowych z tow. tow. Kuszykiem i Bieniem na czele. [...] W dali widać grupę oficerów z ob. gen. Bukojemskim. [...] Przedstawiciele Armii Czerwonej z ppłk. Jabłkowem. [...] Zagaja w imieniu Związków Zawodowych tow. Kuszyk. Jako drugi przemawia przedstawiciel WK PPS, ob. Raabe. [...] Za nim — sekretarz Woj. Komitetu PPR — tow. Konopka. «Wesoło i radośnie jest dziś» — tak zaczął swe przemówienie tow. Konopka. [...]”

Sekretarz Konopka podkreślił w przemówieniu fakt wywalczenia przez polską demokrację niepodległości kraju, to, że Polska wychodzi z wojny jako kraj silny, o mocnych, ugruntowanych zasadach demokratycznych; zaakcentował, że klasa robotnicza jest współgospodarzem kraju i że podstawa ustroju to sojusz robotników, chłopów i inteligencji pracującej. „Oświadczylimy — mówił — w czarną noc niewoli niemieckiej, że nie będzie Niemca na ojczyściej ziemi — Niemca już dziś nie ma. Powiedzieliśmy: nie będzie w Polsce demokratycznej obszarzaka — już go nie ma. My mówimy teraz: nie będzie w naszej ludowej Polsce tych, co skrytobójczo zza węgla mordują patriotów polskich, żołnierzy i oficerów polskich — reakcjonistów londyńskich. I nie będzie ich!” Podkreślił wreszcie mówca znaczenie przyjaźni narodu polskiego ze Związkiem Radzieckim.

Przemawiało później jeszcze wiele osób. A wreszcie ruszył przez miasto wspólny pochód pierwszomajowy. Jego czoło otworzyły poczty sztandarowe PPR i PPS.

Tak oto wyglądał 1 Maja 1945 r. w wolnym Lublinie.

W dwa dni później, w czwartek 3 maja, ukazało się na ulicach Lublina wydanie nadzwyczajne „Sztandaru Ludu”. Odmienne, czarne czcionki układały się na pierwszej stronie w najbardziej sensacyjną wiadomość ostatnich lat: „Berlin zdobyty. Hitler i Goebbels popełnili samobójstwo”.

W niespełna tydzień później skończyła się wojna.

W mogile ciemnej

PRZECZYTAWSZY w „Polityce” (10/1986) krótki artykuł Jerzego Buszy „Gdzie jest awangarda?”, rozplakałem się serdecznie niczym pasterz witający nawróconego w świątyni. Diagnozy i opinie autora pokrywają się bowiem z tym, co sam głoszę od wielu lat, wytykając np. naszej „awangardzie” artystycznej lokalskie zapatrzenie się na kulturę Zachodu, ukształtowaną wszak w perspektywie historyczno-cywilizacyjnej jakby innej od nadwiślańskiej. Działalność ta przysporzyła mi całkiem okazały wianuszek wrogów, rekrutujących się z kręgów tzw. nowej sztuki i zresztą podwieszonych, jak leniwce, do mlecznych piersi ludowego mecenas. Z radością witam więc sojusznika.

Wypowiedź Buszy jest o tyle ważna, że pracownik redakcji „Fotografii” posiada długi staż w roli obserwatora artystów poszukujących alternatywy dla sztuki popularnej, obecnej choćby w wyobraźni polskiej inteligencji, a zatem — zdaniem awangardzistów — kompletnie jałowej, wręcz kultuńskiej, oznaczonej m.in. nazwiskami Matejki, Chelmońskiego czy Gersona.

Podzielając sądy tego krytyka, wyluszczone w „Polityce”, czuję się zobowiązany i uprawniony do przytoczenia fragmentów innego tekstu Buszy, który pod tytułem „Fotografia lat siedemdziesiątych” ukazał się kiedyś w „Kamieniu” (10/1981), zresztą z mojej rekomendacji, opartej wszak wyłącznie na postanowieniu chińskiej zasady „stu kwiatów”.

Porównanie tamtej publikacji z obecną posłuży do ostatecznego wyświetlenia kwestii pt. „Gdzie jest awangarda?”. Istotne, że obie prace Buszy mają wręcz bliźniaczą problematykę. Sam ich autor oznajmia zresztą, że nie jest dlań „rzeczą istotną, w jakim tworzywie pracuje artysta”, albowiem sztuka konstytuuje się na zupełnie innym poziomie. Także i twierdzi „awangarda”.

Artykuł w „Kamieniu” otwiera inwokacja: „Niechaj mi czytelnicy darują chętelne wyznaczenie: znam nadto dobrze sytuację, w jakiej znajdowali się artyści w minionej dekadzie, której byłem naczynym świadkiem, a w pewnej mierze także uczestnikiem, związanym przyjaźnią bądź sojuszami towarzyskimi z gremialną większością lu-

dzi tworzących obecną „neo-awangardę” sztuk. Jako krytyk pragnąłem być aliantem artystów, co, mimo nadzieje, nigdy, przenigdy nie tępiło mego zmysłu krytycznego”.

Entrée miał zatem Busza ładne: dygnął wdzięcznie i niewinnie spuszczać rzes firanki, wyznał, że jest fachowcem, któremu można zaufać. W roku 1981 była to deklaracja na miarę biletu do historii.

Następnie autor podzielił neoawangardę według schematu Stefana Morawskiego, zasiedlając te komórki do wynajęcia nazwiskami najciekawszych, jego zdaniem artystów: Zbigniewa Dłubaka, Jana Swidzińskiego, Józefa Robakowskiego, Andrzeja Lachowicza, Natalii Lach-Lachowicz, Zdzisława Sosnowskiego i innych. Nazwiska te znajdujemy też, na eksponowanych miejscach, w książkach traktujących o nowej sztuce polskiej.

Ale na tym Busza nie poprzestał i chcąc uźmysłować czytelnikom wielkość wymienionych artystów, oświadczył z ręką na sercu: „Wszyscy ludzie, których tu wymieniam, to absolutna, europejska czołówka, nazwiska pierwszej wielkości, bez których polska kultura plastyczna zamienia się w pustynię nic nie mówiącej średniości”.

Mocne słowa, stymulujące erekcję ducha narodowego do rozmiarów słynnej rzeźby innych awangardzistów, pary Kwiek-Kulik, która zechciała kiedyś uszczęśliwić świat monumentem pt. „Człowiek-kutas”, niezbyt jednak życzliwie przyjętym przez organa paszportowe, o czym warszawski duet skwapliwie informował potem publiczność, oddając się czynności odcinania kuponów u samej nasady sprawy.

Mocne słowa mają to do siebie, że są słabsze od mocniejszych, zatem przy końcu artykułu Busza przebił samego siebie i stwierdził: „na tle działań twórców zagranicznych należymy niewątpliwie do artystycznej czołówki. Kilku pracujących w tworzywie fotograficznym artystów istnieje w »świadomości światowej«”.

Podjmując kilka innych kwestii, wcale interesujących, ni razu autor nie pozwolił sobie na sugestię, jakoby ta nasza „awangarda” pozostawała w stosunku choćby częściowej zależności od kultury Zachodu.

Każdy krytyk ma prawo i obowiązek głoszenia własnych poglądów.

Poglądy wyluszczone przez Jerzego Buszę w „Polityce” są przecież tak odmienne od wyżej cytowanych, że zachodzą w głowę, czy autorem obu tekstów jest ta sama osoba!

Stawiając dramatyczne pytanie: „Gdzie jest awangarda?”, tym razem Busza darował sobie „chętelne wyznaczenie”, że był przyjacielem rewolucjonistów, „a w pewnej mierze także uczestnikiem” ruchu. „Już pod koniec lat siedemdziesiątych — stwierdza — narastało przeświadczenie, że nasza, krajowa awangarda, ale i towarzyszący jej

łosom teoretycy i krytycy znajdują się na poważnym artystycznym zakreście i myślowym rozdrożu”. Kto się tam znalazł? Oni! Bo przecież nie Busza, który jeszcze w 1981 roku demonstrował całkiem dobre samopoczucie.

Dalej autor zauważa po prostu, „że miłość nasza do zachodnich ośrodków artystyczno-opiniotwórczych była przesadnie jednostronna. [...] Kto mi nie wierzy, niechaj pokaże jednego wybitnego polskiego awangardzistę, którego międzynarodowa pozycja byłaby porównywalna z naszymi ambicjami w tej mierze”.

Kto pokaże? Rozwijając wątek Busza wskazuje, że sytuacja sztuki lat 70-tych była normalna, albowiem miast uważnej obserwacji skomplikowanego świata rodzimego codzienności artyści polscy inspirowali się „wiodącymi tendencjami sztuki światowej”. Owszem, zaznacza, jest to zjawisko znane z powojennych dzieł naszej sztuki, ale: „Tym razem wszyscy jakby zatracili miarę”.

A oto opinia wieńcząca negatywny aspekt dzieła krytyka: jak spojrzeć na sprawę, wynik zawsze „Będzie potwierdzał permanentną marginalność dorobku naszej awangardy w świecie, czego świadom był już w połowie lat 30-tych Wł. Strzemiński”.

Dodam od siebie, że wtedy też twórca unizmu zalecał, by przeciwników awangardy „Walić kłonicą w łeb!” oraz „systematycznie tępić i wyrzucać ich zewsząd”.

Co zatem widać w wesołym ogniu konfrontacji dwóch sprzecznych względem siebie publikacji Jerzego Buszy? Mogilę ciemną awangardowych złudzeń, uklepywaną przez człowieka, który utracił wiarę w moc magicznych zaklęć, zaufał owo myśli i empirii, dzięki czemu uniknął pogrzebania wraz z mitem. Prawda, zaufał dość późno...

Ale w tym ogniu widać też coś znacznie większego: potrzebę nowego spojrzenia na powojenne dzieje sztuki polskiej, spojrzenia rewidującego niektóre tezy i sposoby wartościowania, jakie oferują nam znane opracowania syntetyczne Janusza Boguckiego, Alicji Kepińskiej, Bożeny Kowalskiej czy Aleksandra Wojciechowskiego, nie mówiąc już o cytowanym artykule Jerzego Buszy z 1981 roku. Myślę, że mottem tej nowej syntezy mogłyby być takie konstatacje Witolda Gombrowicza:

„Jeden z wielkich problemów naszej kultury to — przeciwstawienie się Europie. Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim, póki nie wyodrębnimy się z Europy, gdyż europejskość nie polega na zlanu się z Europą, lecz na tym, aby być jej częścią składową — specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić. A także: tylko przeciwstawienie się Europie, która nas stworzyła, może sprawić, że staniemy się w końcu kimś... o własnym życiu”.

IJK

O kryzysie literatury

NIEKTÓRZY tyle mówią o kryzysie kultury czy literatury współczesnej, że zaczyna to wyglądać na chwalenie się swoistym, przewrotnym sukcesem. Kryzys ten nie jest naszym wynalazkiem, w sztuce trwa on permanentnie. W prozie wciąż styl attycki walczy z azjańskim i raz jeden styl się rzekomo kończy, raz drugi, a w gruncie rzeczy każdy z nich istnieje w różnych stylach pośrednich.

Sprawami tymi martwią się tylko pedanci i zarabiający na chleb zawodowcy. To oni właśnie od lat, od wielu lat mówią o kryzysie powieści. No i co z tego wynika? Zajrzyjmy do pierwszej lepszej biblioteki publicznej. Czytelnicy szukają tam powieści, przede wszystkim powieści.

W starożytnym Rzymie w tak zwanym złotym okresie równie chętnie mówiono o kryzysie literatury. Poeci zarabiali mało, ledwo starczało im na sól do śledzia, a tymczasem mówcy zgarniali krocie, miliony. Sławni, rozpanoszeni mówcy wyśmiewali się z poetów marzących daremnie o sławie. Dziś, po dwóch tysiącach lat dużo się nie zmieniło. W starożytnym Rzymie zbulwersował wręcz wszystkich i zgorszył słynny orator, który rzucił praktykę sądową i zabrał się do pisania wierszy. Zaczęło mu tłumaczyć, że nic z tego nie będzie miał. Sam Tacyt poświęcił temu wydarzeniu obszerny i elokwentny dialog. Znajomi tłumaczyli ryzykantowi, że przestanie być gwiazdorem epoki. Przecież z odległych krańców imperium zjeżdżają entuzjaści tylko po to, żeby wysłuchać kilkogodzinnego przemówienia. Potem oglądają występy mimów, zalewają pałę i wędrują do łafni albo zamtu, gdzie uprawiają swój proceder czarne, białe i żółte niewolnice. Czasami przy okazji takiemu zalatanemu turyście pokazywano też poetę, który nie potrafił zaimponować ani strojem, ani tęgą miną. Poeta klepał jakieś dyrdymałki i marzyliśko mówił o samotności.

Wracajmy do zakompleksionej współczesności. Nagle się okazuje, że nawet z beletrystyką nie jest wcale aż tak źle. Proza lingwistyczna to nie tyle wyraz totalnego kryzysu formy co typowy przejaw stylu azjańskiego, jak zapewne powie-

działby Cycero czy inny teoretyk starożytny. Po hemingwayowskich, umownie mówiąc latach surowego, oszczędnego stylu attyckiego czas na barokową prozę azjańską. Zresztą od dawna mówi się o przemienności epok klasycyzujących i romantyzujących. Są to terminy o tyle nieprecyzyjne, że już w starożytności, w okresie klasycznym istniała ta tendencja, w związku z czym rozróżniano styl attycki, azjański oraz style pośrednie. W każdym razie zawsze można było sobie mówić o kryzysie literatury.

Najchętniej mówili oczywiście oratorzy, gdyż nawet przeciętny orator nieźle zarabiał. Nauczyciele też wtedy nie narzekali na zarobki. W szkołach retorów pedagogicy uczyli rozumieć i cenić poezję, gdyż różne sprytnie metafory bardzo przydają się w retorycznej praktyce.

Dziś natomiast literatura piękna musi holować nie tylko mówców. Mamy jeszcze prasę, radio, telewizję i reklamę.

Kryzys literatury nie ma nic wspólnego z tym, że ludzie słuchają radia i wpatrują się w ekran telewizora. Kiedy nie było telewizji równie chętnie oglądano mimów czy innych gagmenów. W średniowieczu linoskoczków widział każdy, a poezji nie czytał prawie nikt, ale samej poezji mało to zaszkodziło.

Janusz Olczak

NARKOMANIA

Bezradność?

ZBRAMY wybiegło ich trzech. Dwóch większych i małych. Ten potykał się trochę na wybojach ulicy Grodzkiej miętosiąc szeleszczący przy ustach i nosie fo-

kamena 4

lowy woreczek z burą zawieszoną. Widać dziurawy bo choć mały dął w niego co sił gdzieś rogiem uchodziło jednak powietrze Powietrze? Zniechęcony, przycupnął na sterze kamieni. Tamci dwaj z rozdętym przy twarzach jak rybie pęcherze woreczkami zapadli gdzieś w gestych krzakach na Podzamczu „Klejarze” Stare Miasto w Lubliwie aż narzyt dobrze zna ich wygląd.

Błdzi niedożywieni; 12-15-letnie wzrostki Demonstrowali wszystkim i sobie wdychanie i odurzanie się klejem do biurowym gdzieś pokatnie bo orzeczeń mało dostępnym w ogólnej sprzedaży. Pierwsze próby nieletniego narkomanstwa. Tym niebezpieczniejszego, że zataczającego coraz szersze kręgi wśród coraz młodszej wiekiem młodzieży, 9-10-letnich już dzieci!

Dlaczego to robią? Z chęci zwrócenia na siebie i swój wygląd uwagi? Na złość mamie? Z potrzeby dorównania silniejszym i brutalniejszym rówieśnikom i starszym kolegom? Może właśnie pod ich presją i namową? Wiedzeni dziecięcą, niepowstrzymaną ciekawością wobec zakazanego owocu? Dla szpanu i nudy? Tak, wszystko to są już wystarczające powody tych pierwszych prób uzależnienia się od środków toksycznych, nie tylko kleju.

A inne motywy? Te sięgają głębiej w sferę osobowości dziecka, jak również w konfliktową sytuację rodziny, często rozbitą, skłóconą, alkoholizującą, zdemoralizowaną, bywa, że i przestępczą, czy też „po prostu” nie dbającej o własne dzieci, odrzucającej je z braku uświadomionych i rozwiniętych uczuć rodzicielskich...

Diagnozy narastającej latami patologii społecznej są znane środki przeciwdziałania zaś — nie dość jeszcze silne i skuteczne. W rozmowie z pracowni-

Marzenia dyrektora Wdowiakowej

ZDYREKTOR Marianną Aliną Wdowiak siedzimy w jej gabinecie w VII Liceum Ogólnokształcącym, w pierwszy dzień kalendarzowej wiosny. Rozmawiamy o oświacie, odrobinę o życiu i o naszych czasach; o tym, co dziś, i o tym, co było. Pełne słońce świeci w okna dyrektorskiego gabinetu.

Jaki powinien być dyrektor? — pyta pan. — Nie do końca zakochany w swojej szkole. Grozi to utratą kilku cennych marzeń. A poważnie, musi umieć patrzeć obiektywnie na rzeczywistość. Pomoc mu to w konsekwentnym i sprawiedliwym działaniu. W kontaktach międzyludzkich celem nadrzędną jest szczerść do samego końca; chęć naderżnąć jest szczerść do samego końca; nawet jeśli jest bolesna. Z tej szczerości wynika zaufanie. Ludziom trzeba ufać i znać ich wartość. Wierzyć w ich zdolność wypełniania zadań. Te zadania i pracę trzeba umieć im zorganizować, dokonać właściwego rozdziału. Ale, wie pan, to sfera działań administracyjnych. Konieczna, choć wcale nie najważniejsza. Tak naprawdę naszym obowiazkiem jest bliskość z młodzieżą. Czy to się grono nauczycielskiemu podoba, czy nie, dyrektor musi być przyjacielem młodzieży, musi ją darzyć zaufaniem i to zaufanie musi być także zwrotne. Integralne prawo ucznia to korzystanie z tego zbliżenia. Przecież nikt z nas nie przestał być

walamy żyć normalnie. Jestem za szkołą dla każdego dwóch, trzech ulic. Za szkołą, gdzie każdy nauczyciel zna swoich wychowanków i gdzie każdy wychowawca zna innych nauczycieli; gdzie praca dydaktyczna trwa od 8.00 do 14.00, a popołudnia wypełniają zajęcia dodatkowe i kółka zainteresowań; gdzie młodzież pozbawiona jest stresów, a proces wychowawczy odbywa się normalnie. Czy to dużo?

Jestem za osiedlami, gdzie istnieją ogólnodostępne hale sportowe i obiekty rekreacyjne. Ktoś powie, że to zbyt kosztowne. Odpowiem zawsze, że nie jest zbyt kosztowne, jeśli w grę wchodzi wychowanie normalnego człowieka. To tylko kwestia właściwych proporcji w rozłożeniu nakładów. Tak wiele mówi się o decydującej roli wychowania poprzez szkołę. Tylko jaką szansę w tym przypadku szkoła posiada? A na wsi? Przecież kiedyś szkoła była tam naturalnym ośrodkiem kultury. Przy właściwej sieci placówek oświatowych i prawidłowym ich wykorzystaniu byłoby tam miejsce i na kółko dramatyczne, i na klub, i na czytelnię. Autorytet nauczyciela byłby, jak niegdyś, wysoki. Dzisiejsze sprowadzenie wymierności oceny człowieka do jego zasobów materialnych, przy obecnych placach w szkolnictwie, autorytet ten rujnuje...

Gdy budowano osiedle Mickiewiczowskie w Lublinie, powstały tam natychmiast dwie szkoły. Potem prawidłowość takiego działania gdzieś się



Fot. Arkadiusz Karaś

waniu ludzi do życia. To klucz do całego problemu.

Na teraz podstawową kwestią jest opracowanie dobrych przewodników metodycznych, aby pomagać na bieżąco uczącym. Do szkolnictwa muszą trafiać ludzie, którzy chcą naprawdę być nauczycielami. Ludzie, którym pasja zawodowa będzie rekompensować wszystkie niedostatki ma-

Jestem za szkołą dla każdego dwóch, trzech ulic...

wychowawcą. Mianując nas dyrektorami, nikt nie zdjął z nas obowiązków pedagoga.

Dlaczego wróciłam? — Odpoczęłam. Kiedy się odchodzi, nie trzeba za bardzo liczyć, jak wielu ma się przyjaciół. Wśród władz i kolegów. Przez te dwa lata i dziewięć miesięcy przyspieszonej emerytury liczyłam, że ktoś się odezwie. Już po kilku dniach czułam ochotę do dalszej pracy. Nie potrafię wyzbyć się aktywności. Ludzie bierni sami skazują się na porażkę. Nawet nie wiedzą, jak wielką. Pierwsza odważyła się zaproponować mi pracę pani Kubaszewska, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 5. Nawet ją ostrzegano, że mogą znowu „narozrabiać”. Na czym to „rozrabianie” miało polegać, nikt nie umiał jej powiedzieć. Wzruszył mnie ten gest. A potem dzieci były wspaniałe. Bardzo polubiłam tę szkołę. Byłam bardzo dumna, kiedy uczniowie przestali mówić do mnie „proszę pani” i zaczęli tytułować mnie „pani Alu”. Było to jakby ponowne potwierdzenie własnej wartości jako pedagoga.

A potem już pani kurator przekonała mnie, że mogę pomóc ludziom i młodzieży, choć nie było to łatwe. Odmawiałam dwukrotnie. No ale jestem tu. Mam na głowie cztery szkoły: liceum dzienne, liceum dla pracujących, liceum znoczne i politechniczne studium administracji państwowej. Jestem przewodniczącą PRON w osiedlu i radną Miejskiej Rady Narodowej. W moim odczuciu — w 1980 roku wyszłam na „słodką-naiwną”. Tak bardzo intensywnie pracowałam w IX Liceum, że nie zauważyłam, jak szybko nadciąga burza. W przywiązaniu do tej szkoły, w zapamiętaniu pracą nie doceniłam pogmatwania układów i zawiści. To była gorzka lekcja realizmu. Teraz zyskałam spokój i nowe doświadczenie...

Widzi pan, ja jestem za inną szkołą niż obecna. Nie znoszę szkół-elbrzymów. W naszej oświacie, gdzieś się pogubiło. Zatrącono zdrowy rozsądek i proporcję widzenia rzeczy. W pewnym momencie oświata przestała nadążać za własnymi potrzebami. Narodowa gigantomania przyrzuciła nam setki szkół-kombinatów i nie kończące się źródło zmartwień. Ta sytuacja musi ulec radykalnej zmianie. Niech pan się przypatrzy tym prostokątnym hangarom. Huczy taki kolos od świtu do nocy. Gdzie tu miejsce na wychowanie, na integrację? My tym dzieciom i ich rodzicom nie poz-

pogubiła. Duża w tym wina władz lokalnych. Ileż to razy odsyłano do centralnej kasy nie wykorzystane fundusze na oświatę. Przetrawniono w ten sposób co najmniej pięć szkół dla Lublina. W skali województwa liczba ta jest jeszcze większa. Czy łatwo to teraz odrobić? Mówimy o nerwicach u dzieci, stresach, złym uczeniu się. Zastępowanie się wyżem demograficznym nic tu nie pomoże.

Nie jestem za szkołą dawną; skostniałą i konserwatywną. Jestem tylko za szkołą normalną; za szkołą jakości. Nasze czasy i tak dostatecznie skutecznie izolują człowieka od człowieka. Tego procesu nie musi jeszcze pogłębiać szkoła. W upychaniu ilości i samozadowoleniu, że to wszystko się kręci, pogubił się najważniejszy: wzięcie normalnego, zdrowego dziecka. Przy dabości o tę sprawę wiele problemów zniknęłoby na zawsze z naszego społecznego życia: apatia, bierność, niewiara. Wychowujemy pokolenie hermetyków: wyizolowanych, słabych, skłóconych z życiem. Jestem za tym, by dziecko poznawało smak nieobranego jabłka. Czy to truzimy? Nie, to najbardziej klasyczny przykład potrzeby powrotu do zasad zdrowego rozsądku.

Albo spójrzmy na wykonawstwo. Jak długi będzie żywot szkół budowanych niedbale i w pośpiechu? A w miastach i na wsiach wciąż jeszcze stoją stare, wygodne i funkcjonalne szkoły z początku wieku.

Bardzo dokładnie przestudiowałam projekt programu partii, a szczególnie jego część poświęconą oświacie. Sledzę czynnie działalność partii, obserwuję ją i współuczestniczę w jej pracy. Oddalam jej spory kawałek swojego życia. Akceptuję dalekosiężne plany, ale brak mi w programie jednak konkretnej wizji odrodzenia oświaty; tej wizji przywrócenia pozornie oczywistych, a jedynie właściwych proporcji. Baza szkolnictwa, w najszerszym pojęciu tego słowa, wymaga jak najszybszego, jakościowego przebudowania. Istnieje pilna konieczność zwiększonych nakładów na pomoce dydaktyczne, środki materiałowe dla szkół, aby dyrektor i nauczyciel nie musieli załatwiać podstawowych problemów bytowych, zwiększenie liczby podręczników dla zaspokojenia potrzeb, a nade wszystko zmian w kształceniu i przygoto-

terialne, czy pozapedagogiczne. A takich ludzi, wbrew pozorom, wcale u nas nie brak. Trzeba ich popierać i faworyzować pod każdym względem. Mam pełną świadomość, że to, o czym mówię, jest realnie możliwe. Nie wolno nam tylko pozwolić sobie na kolejny błąd w rozłożeniu nakładów inwestycyjnych. W człowieka trzeba inwestować zawsze. Najpełniej, jak to tylko możliwe.

Młodzież? Czy jest inna niż kiedyś? Na pewno tak. Gdyby nie była inna, to byłoby źle. Jest bardziej dociekliwa, bardziej odważna w formułowaniu myśli, bardziej chłonna. To wielki dorobek. Jest i grupa apatycznych, manifestujących opozycyjność. No cóż, muszą chodzić do szkoły, jak wszyscy. Przed nimi życie. Ono uczy szybko i szybko weryfikuje mity. Co do opozycyjności, miałam niedawno takie zdarzenie. Zobaczyłam znajomą, jak maszerowała przez trawnik. Spotkałyśmy się w alejce. Zapytałam ją, czy musiała koniecznie ubrudzić sobie buty. Odpowiedziała mi, że tak, gdyż jest zbuntowana. Zapytałam ją, czy bardzo denerwuje ją fakt, że trawa rośnie...

Nauczyciel? Nauczyciel musi być odważny. Odwaga ta powinna płynąć z wartości osobowych i zawodowych. Dobry nauczyciel musi być po prostu, dobrym fachowcem, mieć rzetelną wiedzę, poczucie sprawiedliwości i obiektywizmu, i poczucie humoru. Ono także jest bardzo ważne. Mówiąc uczciwie, młodzież jest najbardziej spóstrzegawczym elementem społeczeństwa. Przed nią nie można grać. Są i cechy bardziej generalne. Dobrego nauczyciela widzę jako uczciwego Polaka, zdającego sobie sprawę ze swojego miejsca w społeczeństwie i z odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa; człowieka darzącego szacunkiem swoją władzę, która nie ogranicza w niczym jego zamierzeń, a w zamian wymaga tylko przekazania młodemu człowiekowi uczciwej, obiektywnej wizji świata, dającej im prawdziwą szansę właściwego wyboru przyszłości.

Rozpiera mnie aktywność? Nie. Żyję normalnie. Nie boję się przyszłości. Myślę realistycznie i ekonomicznie. Tak zostałam wychowana. Nie musiałam czekać na kryzys, by się tego uczyć. I dotyczy to nie tylko materialnej sfery życia.

Notował: Henryk Więclawski

Kami Poradni Młodzieżowej i jednocześnie członkami Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii przytoczono pewien fakt. Otóż Towarzystwo to zainteresowane było prowadzeniem działalności profilaktycznej wśród dzieci i młodzieży na Starym Mieście. Rozbiło się wszystko o brak odpowiedniego lokala, którego odmówiła m.in. miejscowa szkoła podstawowa. Do dzisiaj zresztą Towarzystwo, korzystając jedynie z gościnności ZW Ligi Kobiet Polskich, boryka się z problemem lokalowym, krótkim dla rozwinięcia działalności w zagrożonych środowiskach. Pewna nadzieja rysuje się w związku z powołaniem w Lublinie placówki MONAR-u, który zainteresowany jest również w działalności profilaktycznej dla najmłodszych.

Wzrasta niepokojąco śmiertelność z powodu przedawkowania środków toksycznych. Według danych resortu lubelskiej oświaty i WUSW, w ubiegłym roku w województwie lubelskim zdarzyło się już siedem samobójczych śmier-

ci, których podłoża narkotycznego nie da się wykluczyć. Ofiarami, młodymi ofiarami, byli narkotyżący się od dawna. Stwierdzono także — według danych „GUS Oświata 16” — 56 prób samobójstwa młodocianych narkomanów. Z niezwykle ciekawych materiałów, zebranych przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Lublinie na temat zagrożenia patologią społeczną dzieci i młodzieży w roku 1985, wybieram te, które rozmiar tego zagrożenia określają. Otóż z 8316 dzieci, objętych profilaktyką społeczną i resocjalizacją, w ubiegłym roku w województwie lubelskim próbowało odurzać się 347 osób, w roku 1984 — 282 osoby, systematycznie narkotyżowało się 59 osób, w 1984 — 48.

Oto letnie południe na kazimierskim rynku. Na stolku, w cieniu siedzi, kryjąc głowę w złożonych rękach, Tomek. Z bezwładnej dłoni wypadła drewniana fajarka. Tomek ma 15 może 16 lat. Ładny, miły chłopiec. Opowiada o sobie: „Rodzice, odkąd zacząłem pisać,

kazali mi się w cholere wynosić, do dzisiaj nie odzywają się do mnie, ani ojciec, ani matka. Jem ukradkiem to, co zostawi niedojedzonego mój młodszy brat. Tak, jego kochają bardziej. Zabierają go na wakacje. A ja? Będę sam. Mam iść na odczucie do szpitala w Lublinie. Ja nie chcę umierać! Chcę się uczyć, żyć. Ale jestem taki słaby! Nie mam nikogo, chyba tylko jakąś ciotkę. Kogo ja obchodzę? Jak mnie wszystko boli? Boże, ja nie wytrzymam! Dlaczego zacząłem brać? Tak, w tamtej paczce kumpi byliśmy sobie równi, bliscy, potrzebni. Uczę się w technikum, nie wiem, co ze mną będzie”.

Z czterestu istniejących w okręgu KOiW poradni wychowawczo-zawodowych żadna nie podjęła jeszcze nowatorskich form oddziaływania na zagrożoną uzależnieniem narkotycznym młodzież, choć czynione są już próby organizowania zespołów socjoterapii. Niezbyt wesoła to konstatacja. Kuratorium Oświaty i Wychowania w Lublinie od

lat prowadzi usilną działalność szkoleniową, profilaktyczną, konsultacyjną, badania sondażowo-pilotujące zagadnienie zagrożeń i przejawów patologii społecznej wśród dzieci i młodzieży. Są to niezwykle cenne materiały i doświadczenia, mogące być doskonałą bazą do dalszych badań. Żadna jednakże z lubelskich uczelni problematyki tej nie podejmuje; a może niezbyt ją eksponuje? W 1982 roku Kuratorium Oświaty i Wychowania, Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej, Oddział Wojewódzki Społecznego Komitetu Przeciwalcoholowego zorganizowały pierwsze sympozjum naukowe na temat zapobiegania, leczenia i resocjalizacji uzależnień toksycznych u dzieci i młodzieży. Sympozjum przyniosło bogaty zbiór materiałów, obserwacji, analiz. Ale co dalej?

Marta Denys

Samuel Beckett - pisarz naszych czasów

Czesław Grzesiak

JEDNA z większych indywidualności w światowej literaturze XX wieku jest bez wątpienia Samuel Beckett — wybitny pisarz pochodzenia irlandzkiego, mieszkający jednak na stałe, od roku 1937, we Francji.

W bieżącym roku, dokładnie 13 kwietnia, przypadła 80 rocznica jego urodzin. Sam pisarz, odznaczający się niezwykle skromnością, nie przywiązuje do tego faktu żadnej uwagi. Wśród krytyków i wydawców zapanowało natomiast ogromne ożywienie. Na całym świecie ukazują się liczne artykuły, a nawet specjalne numery poświęcone dotychczasowej twórczości jubilata; z tej okazji wznawia się również wydania jego dzieł oraz tłumaczy się je na coraz więcej języków obcych. W teatrach zaś przygotowano nowe inscenizacje jego dramatów.

Co jest właściwie powodem, że ten skromny, aczkolwiek kontrowersyjny pisarz tak bardzo fascynuje, przyciąga i porusza miliony ludzi na całym świecie? Gdzie tkwi źródło jego powodzenia i w czym przejawia się jego rosnąca z roku na rok popularność?

Zarówno w Polsce jak również w Anglii, Francji i na całym świecie Beckett dał się głównie poznać jako dramaturg. Sukces sztuk teatralnych skierował dopiero uwagę i zainteresowanie publiczności na pozostałe obszary jego różnorodnej twórczości. Autor „Godota” uchodzi bowiem za doskonałego krytyka, poetę, prozaika, dramaturga, a ostatnio nawet reżysera swoich własnych sztuk. Ponadto jest jednym z niewielu wielkich pisarzy konsekwentnie dwujęzycznych, piszącym równie dobrze po angielsku jak i po francusku. Język dzieciństwa wydaje się wyzwalać w nim więcej czułości, spokoju, delikatności i ironii, zaś język dojrzałości — dosadność i intelektualne okrucieństwo. Pierwsze utwory powstały w języku angielskim, zasadniczy człon twórczości — w języku francuskim, a ostatnio pisze na przemian, gdyż autor pragnie raz słyszeć się tak, raz inaczej. Sam też dokonuje tłumaczeń z jednego języka na drugi. Stąd płynie dodatkowa jeszcze wartość jego dzieł.

Kariere pisarską rozpoczął Beckett wypowiedziami krytycznymi na temat ulubionych pisarzy, myślicieli i malarzy. Tak powstały eseje: *Dante... Bruno. Vico... Joyce* (1929), *Proust* (1931) oraz *Malarstwo braci Van Velde* (*La Peinture des Van Velde*, 1946).

Drugą dziedziną twórczości, do której autor powrócił w ostatnich latach, to pisanie i tłumaczenie wierszy. Kolejno ukazały się więc: poemat *Whorescope* (1931), wiersze wydane w Paryżu w tomie *Echo's Bones* (1935), *Wiersze po angielsku* (*Poems in English*, 1962), *Zbiór wierszy po angielsku i francusku* (*Collected Poems in English and French*, 1977) oraz cykl miniatur poetyckich *Gra na fujarce* (*Mirlitonades*, 1978).

W obszarze prozy mieści się zbiór opowiadań o trudno przekłamaczalnym tytule *More Pricks than Kicks* (1934); cztery nowele napisane w roku 1946: *Wydalony* (*L'Expulsé*), *Koniec* (*La Fin*), *Narkotyk* (*Le Calmant*), *Pierwsza miłość* (*Premier amour*, 1970); oraz cykl powieści, obejmujący takie utwory jak: *Murphy* (1938), *Watt* (1953, wersja francuska ukazała się w roku 1969), *Mercier i Camier* (*Mercier et Camier* — napisany w roku 1946 już po francusku, lecz wydany dopiero w 1970 roku) oraz trylogia *Molloy* (1951), *Malone umiera* (*Malone meurt*, 1951) i *Nienazywalne* (*L'Innommable*, 1953). Późniejsze utwory trudno już nazwać powieściami, stąd najwłaściwsza dla ich określenia wydaje się nazwa „utwory proza”. Należą do nich: *Teksty na nic* (*Textes pour rien*, 1955), *Jak to jest* (*Comment c'est*, 1961), tom zatytułowany *Têtesmortes* (1967) i zawierający między innymi *Wyobraźnię martwą*, *wyobraźcie sobie* (*Imagination morte*, *imaginez*), *Dość* (*Assez*) i *Dziś* (*Bing*); kolejnymi pozycjami są: *Bez* (*Sans*, 1969), *Wyludniacz* (*Le Dépeupleur*, 1970), *Na zakończenie raz jeszcze* (*Pour finir encore*, 1975), *Niewypały* (*Foires*, 1975), *Towarzystwo* (*Company*, 1980) oraz *Zle widziane Zle wypowiedziane* (*Mal vu mal dit*, 1982).

Do utworów scenicznych (tych większych i miniaturowych) należą: *Czekając na Godota* (*En attendant Godot*, 1952), *Końcówka* (*Fin de partie*, 1957), *Ostatnia taśma Krappa* (*Krapp's Last Tape*, 1958), *Radosne dni* (*Happy Days*, 1961), *Komedia* (*Play*, 1963), *Tam i z powrotem* (*Come and Go*, 1967), *Oddech* (*Breath*, 1971), *Nie ja* (*Not I*, 1973), *Tamtym razem* (*That Time*, 1974), *Kroki* (*Footfalls*, 1975), *Katastrofy i inne dramatyki* (*Catastrophes et autres dramatiques*, 1982).

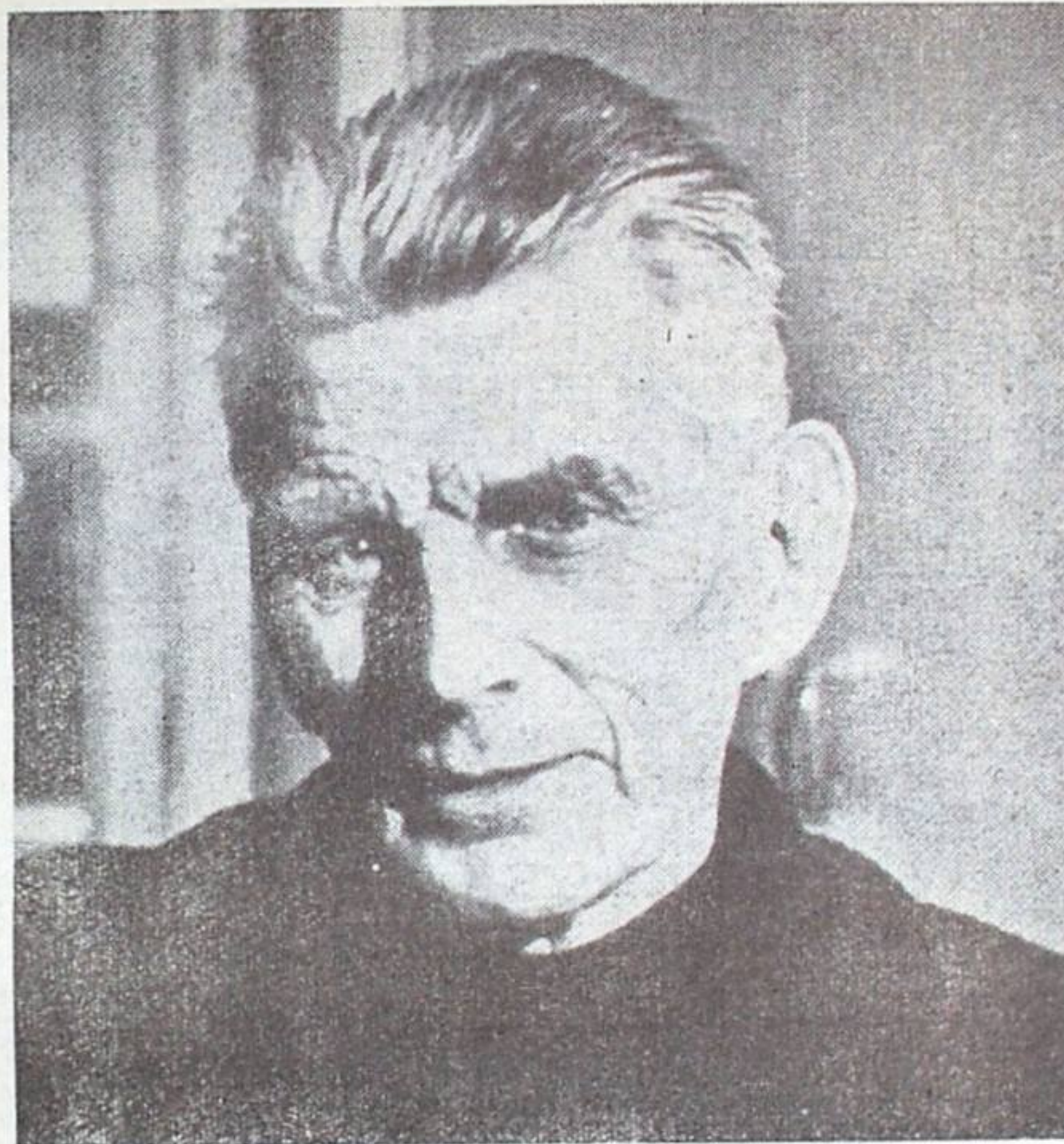
Osobną podgrupę stanowią tu sztuki telewizyjne (głównie dla BBC): *Słuchaj, Joe* (*Eh, Joe*, 1965), *Trio duchów* (*Ghost Trio*, 1976) i *...tylko chmury...* (*...but the clouds*, 1976).

Inną pokrewną dziedziną są liczne słuchowiska radiowe: *Którzy upadają* (*All That Fall*, 1956), *Popioły* (*Embers*, 1959), *Słowa i muzyka* (*Words and Music*, 1962) z muzyką skomponowaną przez brata pisarza — Johna oraz Cas-

własnego „ja”, a przez to — głębi istnienia oraz natury człowieka i jego egzystencji.

W sferze szczególnych zainteresowań pisarza znalazła się więc postać literacka oraz nieodłączny jej atrybut, jakim jest język.

Pierwsza najbardziej znamieną cechą beckettowskiego universum to stopniowa redukcja postaci. Przede wszystkim wyraża się ona w ograniczeniu ilości głównych postaci do minimum. Najpierw mamy więc do czynienia z zagubioną w świecie jednostką, później parą, a najczęściej z dwiema parami, w których jedna istota jest przeciwieństwem drugiej. W tak funkcjonującym świecie, sprowadzonym do mikrostruktury społecznej, istnieją tylko słabsi i silniejsi, okrutni i ulegli, panowie i słudzy. W ten sposób pisarz wydobyl i ukazał podstawowe związki między ludźmi, które mają wymiar ponadczasowy i uniwersalny. W hi-



Repr. Arkadiusz Karoń

cando (1963) z muzyką Marcela Mihalovicia.

Kolejną dziedziną zainteresowań pisarza są scenariusze: do pantomimy *Akt bez słów* (*Acte sans paroles*, 1956), do filmu (*Film*, 1964) zrealizowanego z udziałem B. Keatona i w reżyserii A. Schneidera oraz do baletu *Nijak* (*Neither*, 1976) z muzyką Mortona Feldmana.

W ostatnich dziesięciu latach Beckett zasłynął również jako reżyser swoich własnych sztuk. Reżyserował je w Paryżu, Londynie, a przede wszystkim w berlińskim Schiller Theater.

Tak bogate i różnorodne dzieło Becketta trudno jednoznacznie sklasyfikować, zaszeregować. Niepokoń ono, a nawet przeraża, czasami bawi, lecz nade wszystko pobudza do refleksji. Zdecydowanie opiera się wszelkim próbom jednoznacznej interpretacji. Choć cechuje je ogromna prostota, to za tą prostotą kryje się jednak zdumiewająca głębia — dziesiątki odcieni i znaczeń, od ludycznych po filozoficzne.

Beckettowi nie można odmówić miana wielkiego pisarza, albowiem w kręgu jego zainteresowań pozostaje człowiek, a ściślej mówiąc — ludzka dola. Obrazowi rozkładającego się świata towarzyszy obraz ludzkiej nędzy, doprowadzonej do skrajnej jej postaci, do wymiarów absurdu i nicości. Pod tym względem Beckett traktowany być musi jako najgłębszy i najbardziej znamieny pisarz naszych czasów. Pi-
sze on po to, gdyż odczuwa konieczność prowadzenia ciągłych poszukiwań

storii ludzkości zmieniają się bowiem tylko formy i nazwy systemów społecznych, lecz istota rzeczy od wieków pozostaje ta sama.

Postacie Becketta starają się przybierać różne postawy wobec życia i otaczającej ich rzeczywistości. Każda z nich prowadzi jednak do klęski.

Murphy ucieka od świata, który go otacza i zdręzcza. Znajduje schronienie w azylu dla umysłowo chorych, lecz tam, w obliczu ponownego zagrożenia ze strony przyjaciół, popełnia samobójstwo.

Watt, przeciwnie, chce poznać i zrozumieć otoczenie, dlatego szuka pracy i znajduje ją u enigmatycznego pana Knotta, by wkrótce ją porzucić, gdyż nie widzi w niej żadnego sensu.

W *Mercier i Camier* para przyjaciół próbuje jeszcze stawić czoła otaczającej ich rzeczywistości, lecz owo przedsięwzięcie kończy się również fiaskiem i ostateczną rozłąką.

Istota ludzka, samotna i zagubiona w świecie, odczuwa potrzebę obcowania z drugim człowiekiem; początkowo zdolna jest nawet do pomocy i życzliwości, lecz z biegiem czasu dostrzega, że obecność kogoś drugiego zaczyna być dla niej ciężarem i następuje zatem wzajemne zdręzczenie się. W ten sposób, w *Końcówce* na przykład, nie ma już mowy o przyjaźni, ani o wsparciu u innych ludzi.

Redukcja postaci idzie również w kierunku degradacji fizycznej. Choć większość postaci wywodzi się już ze świata włóczęgów i żebraków, starych i kalekich, którym coraz bardziej za-

czynają dokuczać różnorakie dolegliwości, to w dodatku stopniowo ztracają one jeszcze zdolność poruszania się, niedołężniejszą, a nawet degenerującą się.

O ile Murphy jeszcze stosunkowo swobodnie porusza się to Watt już ma trudności, często upada, lecz wstaje i idzie dalej. Moran i Molloy doznają porażenia kończyn; ten ostatni kończy swą eskapadę, czolgając się. Malone leży już w łóżku i nie porusza się nawet po pokoju. Odtąd ciało zostaje uwięzione i ulega dalszej destrukcji. Taka ruina istoty ludzkiej reprezentuje w *Nienazywalnym* Mahood, kadłubek żyjący w dżbanie na rogu jakiejś paryskiej ulicy. Podobny los spotkał w *Końcówce* rodziców Hama, Nagga i Nelli; umieszczono ich w kubbach na śmieci. W *Jak to jest* istoty sprowadzone zostały do stanu larwalnego. Nie przypominają one już istot ludzkich, lecz jakieś ich niedzne szczątki, ocalale, być może, do kataklizmie atomowym i brnace w morzu błota (jako motto do swego utworu Beckett użył cytatu z Leopardiego: „świat jest błotem” — *e fango è il mondo*). W ostatnich utworach pozostają już tylko usta, twarz i głos.

Z fizyczna redukcja osoby ludzkiej ściśle związane jest zawężenie się form przestrzennych, aż do ostatecznego zamknięcia i uwięzienia w nich postaci. W początkowych utworach postacie poruszały się swobodnie po otwartych i rozległych przestrzeniach, między morzem a lasem, wsią i miastem; potem zostają zamknięte w pokojach, a ostatecznie uwięzione w przedmiotach o geometrycznych kształtach, spośród których szczególnie wymowy nabiera w *Komedii* trumna. Wraz z nią kończy się jakoby istnienie doczesne, a rozpoczyna pośmiertne, w którym istoty skazane są na wieczne rozdramietywanie swoich własnych grzechów. W *Wyludniaczu* autor posunął się w swych dociekaniach jeszcze dalej: gdy w cylindrze (orzwoominającym dantejskie piekło) zamiera w nieruchomości ostatni z jego mieszkańców, gaśnie wtedy światło i znika wszelkie dranie; kończy się w ogóle świat ludzki.

Wraz z ograniczaniem ruchu i zawężaniem się przestrzeni wzrasta jednocześnie znaczenie mowy. Parafrazując znane powiedzenie Kartezjusza, „myśle, więc jestem” na „mówię, więc istnieję”, Beckett pragnie przypomnieć językowi znaczenie szczególne: mówienie, a wraz z nim wypowiedziane słowa, stają się świadectwem istnienia człowieka. Wszystkie więc jego postacie dopóki mówią, istnieją i żyją. W początkowych utworach wywodziła się w zasadzie w pierwszej osobie; po-
czawszy od utworów proza i późniejszych jednoaktówek, mówią we wszystkich możliwych formach. Wynika to stąd, że dana postać albo nie mówi o sobie (mówi o kimś innym), albo że sama dla siebie jest kimś innym.

Mówienie pozwala postaciom pokonać niedowład ciała, wypełnić pustkę, przedłużyć istnienie, a tym samym zapomnieć na jakiś czas o okrutnej i niedzkiej doli. To, co mówią, nie ma większego znaczenia. Najczęściej odpowiadają sobie różne historiki, wspominają swą niechlubną przeszłość, snują bzdurne przypuszczenia i domysły aż do wyczerpania się wszystkich możliwych kombinacji. Mówią, aby zabić milczenie, gdyż jest ono dla nich symbolem nicości.

Z czasem jednak mowa i głos zaczynają się zacinąć i rozpadać, albowiem w miarę, jak marnieją i gina postacie, marnieją zwykle i rozrywa się mowa. Pozostaje już tylko nierówny oddech i strzępy wypowiedzi. Gdy zniknie słowo, skończy się istnienie.

Wraz z mową degraduje się również styl. W ostatnich krótkich utworach proza zabrakło czasowników, zdania stały się coraz krótsze, a poszczególne słowa tak zostały uszeregowane, by stanowiły wieloznaczna całość.

Nietrudno zauważyć, że z biegiem czasu możliwości nowych rozwiązań coraz bardziej maleją i dzieło Becketta nieublagalnie zbliża się do kresu swych możliwości. Autor jednak nie powiedzielił jeszcze przysłowowego ostatecznego słowa i w najbliższym czasie zapewne niejednym utworem nas jeszcze zaskoczy.

Dzieło Becketta, na wskroś oryginalne i nie mające sobie równych, oprócz licznych akcentów pesymistycznych czy wręcz tragicznych, zawiera również sporo dozę humoru. Źródłem śmiechu

staje się ludzkie cierpienie oraz igraszkę z językiem. „Nie ma nic zabawniejszego niż nieszczęście” — stwierdza jedna z postaci Końcówki. Jest to więc sardoniczny i przenikliwy chichot człowieka świadomego swej okrutnej nędzy i nieuchronnego upadku. Humor płynie poza tym z licznych kalamburów, nieprzyzwoitych aluzji, dwuznaczności, koślawych współbrzmień, idiotycznych przysłów czy aforyzmów oraz licznych powtórzeń. Nie ma postaci, gestu, aluzji czy wypowiedzi, które nie pojawiłyby się dwukrotnie: raz wcześniej, raz później, raz w działaniu, raz we wspomnieniu. Ambicja Becketta jest pokazać wszystko pod podwójnym kątem. Istnienie jest tragiczne ponieważ człowiek nie jest stworzony do śmierci, a umiera. Jest również śmieszne, gdyż chce żyć, chociaż został skazany na zagładę.

Choć twórczość Becketta sięga lat 30-tych, to zyskuje on sobie dopiero popularność od roku 1953 — od słynnej premiery sztuki *Czekając na Godota*. Pod koniec lat 50-tych spotykała go pierwsze oficjalne wyróżnienia. Sluchowisko *Popioły* otrzymuje w roku 1959 Grand Prix Italia. Trzy lata później przypada mu w udziale, razem z Borgesem, Międzynarodowa Nagroda Wydawców, a w roku 1969 otrzymuje literacką Nagrodę Nobla, której odbiór jednak nie odbiera, gdyż nie cierpi tłumów, reporterów i wszelkich oficjalnych uroczystości. Po odbiór nagrody wysłał swego paryskiego wydawcę — J. Lindona.

Przyznanie Nagrody Nobla wzmogło jeszcze bardziej zainteresowanie Beckettem, zwłaszcza u krytyków i naukowców. Artykuły i rozprawy naukowe mnożą się jak grzyby po deszczu. Opracowana w roku 1970 przez R. Federmana i J. Flechtera bibliografia (*Samuel Beckett: His Works and His Critics*) liczy już blisko 10 tysięcy pozycji. O żadnym z pisarzy XX wieku nie pisano chyba za życia tak wiele jak o nim.

Dla uświetnienia 70 urodzin pisarza powstały nawet instytucje specjalizujące się w Beckettologii. Z inicjatywy Jamesa Knowlsona, wykładowcy literatury francuskiej na Uniwersytecie w Reading (Anglia), uruchomione zostało przy tamtejszej bibliotece uniwersyteckiej Archiwum Beckettowskie, które ma na celu zbieranie i przechowywanie manuskryptów i maszynopisów pisarza, książek z jego notatkami (np. uwagami reżyserскими) oraz wszelkiej innej dokumentacji związanej z osobą i z dziełem Becketta. Archiwum jest również jednym z wspólnych wydawców *Dziennika Studiów Beckettowskich* (*Journal of Beckett Studies*), periodyku ukazującego się dwa razy w roku i poświęconego całkowicie twórczości Becketta. Na wartość czasopisma składają się artykuły krytyczne dotyczące dzieł prozatorskich i dramatycznych, recenzje najnowszych inscenizacji teatralnych, telewizyjnych i radiowych, serwis zdjęciowy, wywiady oraz wydarzenia pokrewne Beckettowi.

Podobny ruch rozwinął się w Stanach Zjednoczonych. Jego inicjatorem stał się niestrudzony Stanley Gontarski, wykładowca literatury angielskiej na Uniwersytecie w Ohio i zarazem twórca Towarzystwa Beckettowskiego (*Samuel Beckett Society*). Co pół roku Towarzystwo wydaje kilkunastoniowe piśmiennik — *Krag Beckettowski* (*The Beckett Circle*), w którym odnotowywane są najważniejsze wydarzenia z zakresu ruchu Beckettowskiego w USA. W roku 1981 Towarzystwo zorganizowało wielkie sympozjum poświęcone twórczości Becketta.

Faktem godnym odnotowania jest również pierwsza olbrzymia biografia Becketta, napisana w roku 1978 przez Amerykankę Deirdre Bair.

Polskiemu czytelnikowi dzieło Becketta zostało przybliżone dzięki tłumaczeniom licznych utworów (krótkich w całości, a dłuższych w fragmentach), zamieszczanych na łamach *Dialogu*, *Twórczości* oraz w dwóch numerach *Literatury na świecie* (5/1975 i 4/1981). Nakładem wydawnictwa ukazały się ponadto: *Nowele*, *Pierwsza miłość*, *Teatr* (zawierający: *Czekając na Godota*, *Końcówkę*, *Ostatnią taśmę Krapa*, *Popioły*, *Którzy upadają*, *Radosne dni* i *Sluchaj, Joe*), *Pisma prozą* oraz ostatnie, nowe tłumaczenie *Czekając na Godota*. Poza tym w „Czytelniku” w roku 1982 ukazała się pierwsza polska monografia, opracowana przez Jana Błońskiego i Marka Kędzińskiego. Sprawa ciągle otwarta pozostaje przetłumaczenie na język polski powieści Becketta. Po tym przedsięwzięciu warto byłoby również pomyśleć o zebraniu wszystkich utworów Becketta — w większości rozproszonych po różnych czasopiśmiech — i wydaniu ich w jednym dziele zbiorowym. Samuel Beckett w pełni zasługuje na takie wyróżnienie.

Nikos Chadzinikolau

NOC

Noc jest zwierciadłem.
Patrz w niebo.
To pora, która nie zawodzi.
Kto kocha gwiazdy,
ten nie odchodzi w odbłask świateł

Noc jest zwierciadłem
jak twarz mojej matki.
Patrz w niebo
i nie wstydz się kolatania serca,
To pora wieczności.

MROK

Nadchodzi mrok, Mario,
i drżę ze strachu,
że cię stracę.
Czy twoje oczy

przyzwyczajają się do mroku?
Ubierz się ciepło, Mario,
bo mrok potęguje zimno.
I wstrzymaj oddech na krzyk.

UŚMIECH

Przychodzisz do mnie
jak wiatr,
który roznieca płomień.
Dordzenna w pragnieniu,
w dotyku szczęśliwa
aż do zagubienia.

Przychodzisz z uśmiechem,
jakbyś chciała unieść
moje spiętrzone morze.

Wierzę w twój uśmiech,
w twoje jaskółcze powroty.

BÓL

Kiedy poczułem ból,
straciłem przytomność.

Tak nagle wypadło niebo z ramienia,
że nie zdążyłem wozować ciebie.

Kiedy ból stał się moją własnością,
uświadomiłem sobie,
że krew nadal napływa do żył.
W ciemnościach zawołałem ciebie.
Za oknem padał śnieg —
zasypał ciemności.

CHWILA

Jest taka chwila
pijana jak statek Rimbauda.
Tyle w niej snów
ile prawd zgubionych.

Jest taka chwila
trwożna jak światło w dłości.
Choć człowiek łączy się z
człowiekiem,
coraz dalej wyspy szczęśliwe.

Jest taka chwila,
a jakby jej nie było...

THOMAS uczył się gry na akordeonie. Pewnego ranka przyniósł swój instrument do cegielni. Gdy grał, z przejęciem patrzył na klawisze. Było mu w tym do twarzy. Zresztą wszystko co robił, czynił z wdziękiem. Zawsze mu o tym mówiłem. Należał do ludzi spokojnych i uczynnych.

— Wiesz — powiedział mi pewnego dnia — poznałem kilka melodii ludowych, do zimy nauczę się nawet walców Johanna Straussa.

Nie było mu to dane. Kilka dni przed urlopem wyszedł z bramy cegielni, w stronę hald. Nie upłynęło dużo czasu i usłyszeliśmy strzał, i rozdzierający krzyk: „Och, matko moja, zabili mnie!”

Gdy zbliżyliśmy się, Thomas leżał nieprzytomny. Jego oczy gasły, ciało konwulsyjnie drgało. Kilka razy próbował się odezwać, ledwo wargami poruszył. Wydał ostatnie technienie.

Za haldami rozciągały się pola winnicowe. Młodzieniec zapragnął winogron, wyciągnął rękę, dostrzegł go stróż, który trochę dalej miał swój szal i zastrzelił go. Stróż był człowiekiem bardzo wysokim, z ogorzalą twarzą, miał sumiaste włosy. Na jego widok serce zamierało. Chodził zawsze z karabinem na ramieniu i chełpił się: „Kto odważy się wyciągnąć rękę, by zerwać winogrona, zginie na miejscu!”

Srodkiem plantacji prowadziła droga polna. Jeśli zdarzyło się kiedykolwiek iść tą drogą patrzyliśmy zawsze prosto, przed siebie. Baliśmy się spojrzeć w inną stronę. Stróż myślał od razu, że chcemy ukraść winogrona. W ten sposób wielu zranili. Był złym człowiekiem. Gdy się upijał, wszyscy uciekali, zostawiali go samego w tawernie. Strzelał na oślep. Ludzie ukrywali się, zamykali drzwi swoich domów. Niejeden oberwał od niego kijem. Był postrachem okolicy, wszyscy go nienawidzili. Nikt jednak nie miał odwagi nawet się odezwać. Poza jego plecami plotkowano, mówiono, że na swojej rodzinnej wyspie, Krecie, zabił trzech ludzi. Przez wiele lat siedział w więzieniu, dlatego był taki dziki.

Pantelis Vlachos, który przedtem pracował przy piecu w Patsaliki, zjawił się prawie ostatni. Gdy spostrzegł zabitego Thomasa, wybałuszyl oczy — zaogniły się jak rozszalały pożar — i wrzasnął rozwścieczony:

— Dokąd on poszedł?
— W tamtą stronę! — odpowiedział Luludas, błąd jak świeca i ręką wskazał kierunek.

— Tam jest! — powiedział nauczyciel, wyciągając krótką rękę.

Popatrzyliśmy wszyscy w tę samą stronę. Ledwo było widać stróża. Jego masywna postać jakby została wchłonięta przez ogrom pola. Zmalał do skromnego przedmiotu. I trudno było uwierzyć, że ta ledwie dostrzegalna postać mogła uczynić tyle zła...

Wszyscy ruszyli w kierunku stróża. Ich śladem poszliśmy i my — dzieci. Na proździe biegł Pantelis Vlachos. Zapelnily się pola ludźmi. Odległość, jaka dzieliła nas od mordercy, coraz bardziej malała. Jednak stąd widzieliśmy go dobrze. W jednej ręce miał karabin, drugą ręką trzymał narzuconą na ramię marynarkę. Wyglądał niczym wielkolud.

Zbliżając się, rzucali w niego kamieniami. Pantelis dziko krzychał:

— Poddać się, morderco, dokąd pójdziesz... nie umkniesz nam, zgniesz!

Ostatnie słowa wzbudziły przerażenie. Stróż odwrócił się, odbezpieczył karabin i wycelował w naszą stronę. Przeróżny huk rozległ się po polu. Schowaliśmy się w dolach, rowach, za drzewami oliwnymi, gdzie popadło. Gdy stróż szedł dalej, tłum ruszał za nim, rzucając kamieniami, pokrzykując wściekle. Pole zahuczało od krzyków:

— Morderco, nie ujdzie ci bezkarnie, zapłacisz życiem za ten czyn...

On się oddalał. Gdy czuł naszą bliskość i niebezpieczeństwo, odwracał się, strzelał, wyl wściekle, siejąc przerażenie:

— Uciekajcie, zabiję was wszystkich, przekleci!

My, młodzi, szliśmy z tyłu, nie braliśmy bezpośredniego udziału. Starcia trwały kilka godzin. Byliśmy już w wielkim gaju oliwnym. Pięćset metrów dalej rozciągała się wieś Peristeri.

— Ludzie, nie dajcie mu odetchnąć, nie pozwólmy schronić się we wsi, zgubimy go! — wołał Pantelis, który szedł zawsze na przodzie.

Za nim szli inni. Wszędzie wrzało od krzyków. Rzucili się na niego ze wszystkich stron, lekceważąc niebezpieczeństwo. Morderca strzelał bez przerwy. Huczały wściekle echa wystrzałów. Kamienie sypały się na niego jak grad. W pewnej chwili upadł na kolana, zraniony, tuż przy korzeniu oliwki. Tam wykończyli go. Dopiero gdy wszyscy poszli, zbliżyłem się do ofiary. Przeraziłem się na jego widok. Nie był podobny do człowieka. Zdusili go, zdeptali nogami. Wyglądał jak kawał czerwonej, urabianej gliny, „Jakim wstrętnym potworem jest człowiek!” — pomyślałem.

Wracając do cegielni, znaleźliśmy majstra Liakosa zranionego kulą powyżej kolana. Jęczał zbroczony krwią.

— Ludzie, musimy go szybko zabrać stąd! — powiedział Yannis Arapis. — Zbyt duży upływ krwi, jego życie jest w niebezpieczeństwie.

— Jego oczy już gasną! — wyszeptał Mitsos, przyjaciół rannego.

— Nie wolno go trząść, bo w drodze może umrzeć — dodał zmartwiony Pantelis.

Wszyscy byli wyczerpani ze zmęczenia.

— Niech ktoś pobiegnie zaprzęgać wóz, może uda się zawieźć go do szpitala — powiedział poważany przez wszystkich majster Tzanas.

Winogronowa kulka

Takis Tranulis

Na rękach nieśli Liakosa. Ledwo dotarli do cegielni, już nie żył. Stanęli wszyscy wokół nieboszczyka, zdjęli czapki, pochylili głowy — włosy przeważnie szpakowate, rozczochrane. Większość z nich przedwcześnie postarzała, z zapadniętymi policzkami, zmęczeni słońcem i intensywną pracą. Mieli podarte spodnie i koszule, spoceni, brudni, bosci. Na ich widok serce się krajało i nikt by nie uwierzył, że ci zmizerowani, cherlawi ludzie mogli kogoś zabić.

— Straciliśmy Liakosa. Już nigdy nie zobaczy nasza ziemia. Niedawno się ożenił, młody jeszcze, nie zdążył nacieszyć się życiem! — jęknął Mitsos i wybuchnął płaczem.

Liakos pochodził z Cyklad. Był wesolym młodzieńcem. Na każde zagadnięcie odpowiadał fraszką, wierszem. Miał bogaty repertuar piosenek. Najbardziej lubił piosenkę zaczynającą się od słów: „Jestem cierpliwy jak ziemia, którą deptają, nie broni się, bo nie ma ust!”

— Lepiej, żeby nie doszło do tej tragedii — powiedział Luludas.

— Straszne to, co nas spotkało! — wyszeptał Karaiskos.

— Drogo sprzedał swoją skórę, potwór! — rzekł posępny Pantelis.

— Tak bywa zawsze. Zlikwidowanie zła pociąga za sobą ofiary! — odezwał się Xenofos, który rzadko się odzywał.

— A ty, Kostasio, czemu tak milczysz? — zwrócił się Luludas.

— Co mam powiedzieć, nieszczęście mówi za siebie i bez słów.

Opuściłem ich ze zranionym sercem, nie mogłem już dalej ich słuchać. Cierpiałem, patrząc na świat, który tracił swoje piękne kształty, a życie człołgało się jak bezradna staruszka.

Następnego dnia gazety doniosły o sekcji zwłok, która wykazała, że w żołądku Thomasa znaleziono jedną winogronową kulkę.

Tłumaczył:
Nikos Chadzinikolau



Od Cassino
do Bolonii

— 4 —

Zgrupowanie Commando

Feliks Kępa

PO zdobyciu Monte Cassino wszystkie polskie oddziały zaczęły kolejno odchodzić na odpoczynek i reorganizację. Korpus musiał „dojść do siebie” po bolesnych stratach; w okresie od 24 kwietnia do 31 maja 1944 r. wyniosły one 4199 ludzi; w tym 924 poległych, 2930 rannych i 345 zaginionych. Również i nasza 111 Kompania Ochrony Mostów zmieniła swój dotychczasowy przydział taktyczno-operacyjny oraz miejsce postoju.

Z dniem 3 czerwca 1944 roku rozkazem dowódcy 2 Korpusu przeszliśmy pod rozkazy majora Władysława Smrokowskiego, dowódcy polskiej 1 Samodzielnej Kompanii Commando, który stanął na czele nowo utworzonego Zgrupowania Commando. Zgrupowanie składało się z 1 Samodzielnej Kompanii Commando oraz naszej 111 Kompanii, którą zaczęto wkrótce określać, nieoficjalnie, mianem 2 Kompanii „Commando”.

Dowódcą Zgrupowania był, jak się już rzekło, major Władysław Smrokowski, jego zastępcą — kapitan Ste-

fan Zalewski. 1 Samodzielna Kompania Commando dowodził kapitan Andrzej Czyński (funkcję zastępcy, a zarazem d-cy plutonu dowodzenia pełnił kpt. Maciej Zajaczkowski). 2 Kompania „Commando” — porucznik Feliks Kępa (zastępcą był ppor. Edward Jan Zalewski). Całość Zgrupowania Commando, od tego czasu — w odwołaniu, pozostawała w bezpośredniej dyspozycji dowódcy 2 Korpusu Polskiego — generała Władysława Andersa.

Rozlokowaliśmy się wszyscy w małym miasteczku Oratino, nie opodal Campobasso. Naokoło rozciągały się góry Apeninu Neapolitańskiego. Był to środek tej części „włoskiego buta”: Oratino leżało mniej więcej w pół drogi pomiędzy Neapolem a Termoli na wybrzeżu adriatyckim. Tutaj, od pierwszego zaraz dnia, kompania nasza zaczęła pod nadzorem kpt. Stefana Zalewskiego przechodzić kolejny kurs intensywnych ćwiczeń komandoskich. Szczególny nacisk położony był na sztukę strzelania w biegu i spod pachy, użycia granatów, a także marszobiegów w pełnym oporządzeniu bojowym.

Wejście w skład Zgrupowania Commando uważaliśmy za wielkie wyróżnienie i powód do dumy. Komandoscy cieszyli się w całym wojsku alianckim niezwykle szacunkiem; zazdrośnie spoglądano na ich z fantazją noszone zielone berety oraz umieszczony na lewym rękawie munduru znak Operacji Połączonych; była to ciemnogrnatowa okrągła tarczka z czerwonymi, połączonymi emblematami marynarki wojennej, wojsk lądowych i sił powietrznych: kotwicą, tommy-gunem i albatrosem w locie; dookoła biegł napis „United We Conquer” (Zjednoczeni zwyciężymy).

Komandoscy to był „wynalazek” angielski, jeszcze z 1940 r. Myśl o utworzeniu tego rodzaju specjalnych oddziałów szturmowo - dywersyjnych, przeznaczonych do szybkich, brawurowych, akcji „z wody na ląd”, narodziła się w Sztabie Imperialnym w Londynie w dniach ewakuacji wojsk brytyjskich spod Dunkierki. Oddziały komandosów składały się z samych ochotników. Ich organizacja, umiejętności i metody szkolenia były w owych czasach pełnym novum, a spowijająca ich działalność tajemnica sprawiała, że interesowano się komandosami o wiele bardziej niż innymi, równie bitnymi wojskami. Legendę komandosów ugruntowały takie śmiałe akcje, jak lądowanie na Lofotach, słynny rajd na francuski port Saint-Nazaire i wysadzenie gigantycznego doku przy pomocy okrętu nafaszzerowanego po brzegi materiałami wybuchowymi, akcja mająca na celu porwanie dowódcy „Afrika Korps”, słynnego „lisa pustyni” — niemieckiego marszałka Rommla, czy też szereg innych, niezwykle śmiałych działań, przeprowadzanych przez komandosów

indywidualnie lub w niewielkich zespołach.

1 Samodzielna Kompania Commando majora Władysława Smrokowskiego była jedynym polskim oddziałem tego rodzaju. Powstała w październiku 1942 r. w miejscowości Cupar w hrabstwie Fife w Szkocji i liczyła niespełna stu ludzi. Wywodzili się oni głównie z 2 Batalionu Strzelców „Kratkowane Lwiątko”, wchodzącego w skład 1 Samodzielnej Brygady Strzelców, dowodzonej przez generała Bronisława Ducha. Batalion ten notabene przejął tradycję oraz sztandar sławnego 2 Pułku Grenadierów Wielkopolskich, walczącego na polach Francji w 1940 r.

1 Samodzielna Kompania Commando wchodziła w skład brytyjskiego 10th Inter-Allied Commando (10 Międzypolickiego Commando), dowodzonego przez podpułkownika Dudleya S. Listera, jako 6-th Troop (szósta kompania; były poza tym kompanie: francuska, belgijska, norweska, mieszana oraz jugosłowiańska), 1 „od strony polskiej” podlegała bezpośrednio tylko Naczelnemu Wodzowi. Do Italii polscy komandoscy przybyli, jako pierwszy zwarty polski oddział, 1 grudnia 1943 r. Zostali przydzieleni do słynnej 2 S.S. (Special Service) Brigade pułkownika Toma Churchilla. Chrząst bojowy przeszli jeszcze przed Bożym Narodzeniem, nad rzeką Sangro w Abruzzach (gdzie pełnili służbę patrolową w bardzo ciężkich, zimowych, górskich warunkach), broniąc wioski Pescopennataro (ich m.p.) przed nocnym atakiem przezwajających sił niemieckich. W styczniu 1944 r. Samodzielna Kompania poniosła dotkliwie straty w walkach nad rzeką Garigliano. Od kwietnia, pozostając nadal oddziałem 10-th Inter-Allied Commando, polscy komandoscy przeszli pod rozkazy 2 Korpusu Polskiego. W czasie bitwy o Monte Cassino wykrwawili się w ataku na San Angelo, to słynne „Wzgórze Aniela Śmierci”, równie ważne dla niemieckiej obrony co Wzgórze „593”. U boku takich towarzyszy broni mieliśmy teraz walczyć wspólnie z Niemcami...

Mała miejscina Oratino nie przedstawiała żadnych atrakcji dla nas, żołnierzy. Kwatery lichawe, brak wody (co było utrapieniem dla kucharzy); jedynie bliskość Campobasso podtrzymywała na duchu tych, którzy szukali jakiejś rozrywki i odprężenia po trudach komandoskiego treningu.

Nasza kompania rozmieściła się (prawie w całości) w jednym dużym budynku miasteczka. Kadra polska zajęła kwatery w prywatnych domach. Szef kompanii, sierżant Stramczewski, rozwinął natychmiast kuchnię polową, aby brać żołnierską należycie dokarmiać, bo intensywne ćwiczenia, szczególnie zaś marszobiegów, wyciskały z nas ostatni dech.

Po dotychczasowych doświadczeniach kilkunastu moich ochotników — Włochów zrezygnowało z dalszej służby w kompanii. Powody po temu mogły

być bardzo różne. Strach o własną skórę na polu przyszłej walki, zobojętnienie wobec rozgrywających się we Włoszech wypadków politycznych i wojennych, wroga propaganda, zanik chęci walki o wyzwolenie własnego kraju. A także — sprawy czyste rodzinne dla tych, których rodzinne siedziby zostały już oswobodzone przez aliantów. W sumie odszedł element słabszy fizycznie, moralnie i o mniejszej wartości ideowej.

Muszę dodać, że z uzupełnieniem stanu kompanii nie miałem zbyt wielu kłopotów — stale zgłaszali się nowi ochotnicy. I właśnie tutaj, w Oratino, zaraz w pierwszych dniach czerwca zgłosiła się grupa dwudziestu Jugosłowian. Byli to żołnierze z różnych jugosłowiańskich ugrupowań partyzanckich, którzy, ratując się przed Niemcami, przedostali się, w sobie tylko wiadomy sposób, do Włoch przez wody Adriatyku. Po przyjrzeniu się tym nowym „kandydatom” kazalera szefowi kompanii natychmiast ich umundurować i uzbroić, rozdzielając po siedmiu do plutonu 1-go i 2-go, a sześciu pozostałych do plutonu 3-go. Byli to chłopcy młodzi, w wieku około 20 lat, zdrowi, silni, przystojni, bardzo mili i wręcz... eleganccy. Ogólną postawą i zachowaniem wyróżniali się spośród całej kompanii. Jak się później okazało — wspaniali żołnierze!

Co do przyjęcia owych Jugosłowian, to ze strony majora Smrokowskiego spotkałem się raczej z zimną aprobatą. Majorowi chodziło tutaj o kwestię odpowiedniego wykształcenia oraz gotowości tych ludzi do walki, która nas wkrótce czekała. Dlatego niezbyt chętnie widział w Zgrupowaniu nowych, nie przystosowanych jeszcze do działań typu komandosowskiego, żołnierzy. Ale że „Nostro Capitano Commandos”, kapitan Stefan Zalewski, urządził nam taką masę strzelań i innych ćwiczeń — w marszu, w biegu, w krzakach i zarosłach, między skałami i w rumowiskach, z góry w dół i na odwrót — więc i moi Jugosłowianie zdążyli dostatecznie dostać w kość, aby nie być komandosowskimi „młodzikami”. Tym bardziej, że każdy z nich już dawniej dobrze nawąchał się prochu na ziemi ojczystej, w Jugosławii, w walkach z Niemcami.

Mimo zmęczenia było swojsko i wesoło. Brać coraz bardziej twardniała i żyła się ze sobą. Była w tym niemała zasługa „starych” komandosów z 1 Samodzielnej Kompanii, bardzo serdecznych i koleżeńskich, a przede wszystkim — naszego obecnie wspólnego dowódcy, człowieka o niezwyklej osobowości i rzadko spotykanych zaletach — majora Władysława Smrokowskiego.

(cdn.)

Do druku przygotował:
Miroslaw Derecki

Zdjęcie na 1 stronie: kpt. Stefan Zalewski w umundurowaniu i bojowym oporządzeniu oficera komandosów.

Dolarowy weekend

Wiesław Horabik

ZAPLECZE budowy widać już z niewielkiego wzniesienia, na na którego wierzchołku droga skręca raptownie w bok i płaską doliną niesie, jak sierpem rzucił, prosto na wyniosłe góry. Ich wierzchołki, choć to tropik, pokrywa wieczny śnieg i szeroki pas kołczastego drutu. Słońce zachodząc zstępuje już do innego państwa Nocami od skalnych ścian odbijają się ostrym echem odgłosy wystrzałów Trwa polowanie na kurdyjskich przemytników.

Drogę na budowę wskazuje ręcznie malowany drogowy znak. Trzeba wje-

chać na teren starych ferm, aby za budynkiem administracji skręcić w prawo i ujrzeć już z bliska, porozrzucane w artystycznym nieładzie, kempingowe domki. Zakupiono je w sąsiednim Kuwejcie; mają w środku łazienki, a niektóre nawet niewielkie kuchnie. Z dala od zwartego miasteczka polskich budowlanych rozsiadł się specjalny domek konsorcjalnych partnerów z RFN. Ten ma wszystko: salonik z miękkimi fotelami, sypialnię, obszerne zaplecze gospodarcze, pokój do pracy, kolorowy telewizor i mieszka w nim jeden tylko człowiek, a i to z rzadka. Sam obsługuje trzy takie budowy. Przerost administracji firmie niemieckiej nie grozi. Jej centrala w Bremie zatrudnia siedem osób. Ona to

okazała się partnerem potężnego Polimexu (liczba urzędników idąca w tysiące), stając się w spółce finansowym liderem.

W czasie nieobecności gospodarza niemieckim domkiem (także rodem z Kuwejtu) opiekują się polski kierownik. Jego domeczek stoi naprzeciw i tak różni się nieco od pozostałych. Parkuje przed nim biała toyota z klimatyzowanym wnętrzem i sterczy samotne drzewko, wiotkie i nierozrosłe od młodości. Zanim jednak będziemy mogli wejść na teren kampu, musimy wylegitymować się przy bramie. Naszego osiedla strzeże bowiem przed mieszkańcami sąsiedniej wioski posterunek arabskiej policji. Policjanci noszą karabiny na piersiach i pichcą ja-

kąs gąbczastą strawę w wąskiej, betonowej wartowni. Jeden leży na ławce, uśmiechając się w wiecznie pogodnej o tej porze roku niebo. Już sama ich obecność wyznacza uczuciowy charakter kempowo-wioskowych stosunków. Skupisko drewnianych domków tworzy oazę odrębności i izolacji. Jesteśmy wszak w centrum irackiego Kurdystanu, i pewnie tak musi być.

Regulamin obozowiska, przyspilony na widocznym miejscu do drewnianej ściany stołówki-świetlicy, zakazuje Polakom kontaktów z tubylcami. Wyłącznie obcowania z zewnętrznym światem zachowuje ścisła kadra. W ten sposób obóz można by rozłożyć w pobliżu Parzewa. Byłe tylko płacone w „zielonych”. Pan Marian, na przykład, podczas rocznego tu pobytu nie był nigdzie. Wycieczki zdarzają się rzadko; raz — ze względu na wzmożone tempo robót; dwa — na trudności w poruszaniu się; trzy — na drobne, związane z tym wydatki. A tutaj każdy groźny ma swoją wartość. Pan Andrzej nigdy nie wypyl w mieście pepsi. Ogranicza się jedynie do tego, co jest mu przynależne. W przeliczeniu buteleczka ciemnego napitku kosztowałaby go sto złotych. Wywiezie stąd ponad cztery tysiące dolarów. To nie, że upał latem dochodzi do 50-60 stopni w słońcu. Prawdziwie twarde kontraktowicze umie poświęcić zdrowie.

Dzisiaj jest czwartek, a czwartek to muzulmańska sobota. Do przestrzegania twardego praw islamu przymuszone jest tu wszystko. Tutaj świetuje się piątek. Stąd może etymologia obecnego w wielu językach określenia „wola-

kamena 8

Co nowego? Rozmowa z dyrektorem WDK w Lublinie Edwardem Chanajem



Fot. Arkadiusz Karoń

— Wojewódzki Dom Kultury osiągnął wiek może jeszcze nie szacowny, ale bardzo już dojrzały. Kończy w tym roku trzydziści lat. Oficjalne uroczystości rocznicowe przewidziane są na październik, ale w rzeczywistości wszystko zaczęło się już w maju 1948 roku na lubelskim Zamku...

— Dokładnie: 16 maja 1956 r. Nastąpiło wówczas w specjalnie adaptowanych na ten cel pomieszczeniach dawnego Zamku Królewskiego otwarcie Miejskiego Domu Kultury. Pierwszym kierownikiem, a następnie dyrektorem tej placówki została Irena Szczepowska...

— „Pani Irena”, jak ją wszyscy na Zamku, i nie tylko na Zamku, nazywali. Osoba, która potrafiła zgromadzić wokół Domu Kultury niezwykle ciekawe środowisko: ludzi o różnych bardzo zainteresowaniach kulturalnych i artystycznych, młodych „poszukujących” twórców, w ogóle ludzi, którzy mieli jakieś autentyczne pasje. Tutaj znalazła miejsce na pracownię malarską znana później grupa plastyczna „Zamek”, działający klub „Zamek” gromadzący młodą inteligencję o artystycznym zacięciu, powstała działająca obecnie w LDK Opłisko Balletowe, mieścił się Dyskusyjny Klub Filmowy „Zamek”, jeden z pierwszych tego typu klubów w Polsce... Wiem to, bo sam kiedyś „działałem” na Zamku pod okiem Ireny. I jestem jednym z tych wielu ludzi, którzy mają dla Ireny Szczepowskiej wielki szacunek.

— Ten pierwszy okres istnienia „Zamku” cechował niezwykle dynamizm. Złożyły się na to: ówczesny klimat w życiu społecznym, politycznym i kulturalnym kraju, zapotrzebowanie na tego rodzaju placówkę ze strony lubelskiego społeczeństwa, no i osobowość Ireny Szczepowskiej. O tym dynamizmie świadczy przykład fakt, że w ciągu pierwszych dziesięciu lat istnienia Amatorskiego Klubu Filmowego nakręcono 50 filmów, które uzyskały liczne nagrody na ogólnopolskich festiwalach filmu amatorskiego. Za całokształt pracy merytorycznej i organizację Festiwalu Teatrów Poezji w 1965 r. Wojewódzki Dom Kultury został uznany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki za najlepszą tego typu placówkę w Polsce. Przykłady można mnożyć bez końca.

— Powiedziat pan: „Wojewódzki Dom Kultury”.

— Bo Miejski Dom Kultury zmienił w 1958 roku nazwę na Lubelski Dom Kultury, a w 1962 r. przekształcił się w wojewódzki... Nawiasem mówiąc, już od początku istnienia MDK na Zamku pełnił zarówno funkcje miejskie jak i — coraz bardziej mocno

zaznaczające się — funkcje wojewódzkie. Po prostu rozwijała się działalność instruktazowo-metodyczna.

— Aż wreszcie WDK nie mógł się już pomieścić na Zamku?

— Nie o to głównie chodziło. Tak czy owak przeniesiono placówkę do dawnej siedziby Liceum im. Unii Lubelskiej przy ul. Podgrodzie 3.

— Zanim jednak przeniesiście się na Podgrodzie, trzeba było, o ile sobie przypominam, dokonać remontu kapitalnego przydziałowego wam budynku, od pionie aż po dach?

— Tak. I wie pan, co znalaziono wówczas na strychu? Głęboko ukrytą skrzynię doskonale zakonserwowanej amunicji oraz kilka karabinów z okresu pierwszej wojny światowej! Ciekawe byłoby dowiedzieć się, kto je tam schował i po co? A też dlaczego o nich zapomniano i tak przeleżały ponad pół wieku.

— Rozumiem, że wraz z przejściem na status wojewódzki funkcje Lubelskiego Domu Kultury musiały się rzeczy coraz bardziej oddzielać od profilu tej działalności, do jakiej tubilnianie zdolali się przez lata przyzwyczaić?

— Oczywiście. Dodajmy przy tym, że budynek przy Podgrodziu nie pozwalał, ze względu na swoją pojemność i architekturę, na prowadzenie szerokiej działalności środowiskowej. Tę działalność przejął wówczas nowo utworzony Lubelski Dom Kultury przy ul. Pastrowskiego 12, stając się właściwie centralnym miejskim domem kultury.

— Tak więc w jakimś sensie wy zbiurokratyzowaliście się?

— No, nie, nie! Po prostu nowe rozwiązania organizacyjne wymagały skierowania głównych naszych działań na teren województwa, gdzie znajdują się liczne placówki kulturalne. A stąd wynikała konieczność szczególnego rozwinięcia działalności instruktazowo-metodycznej.

— Więc właściwie przestaliście być domem kultury, a staliście się wojewódzką placówką instruktazowo-metodyczną. Tak?

— Zanim panu odpowiem, może najpierw wyjaśnię, że jesteśmy organizatorami wielu znaczących imprez kulturalnych i kulturalno-artystycznych o bardzo szerokim zasięgu, jak na przykład Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu (obchodzący w

tym roku dwudziestolecie), Puławskie Spotkania Lalkarzy, Krańskie Krajowe Spotkania z Pieśnią i Piosenką o Ojczyźnie czy Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzyskiego. Przechodząc zaś do naszej obecnej podstawowej działalności... Jednym z jej mierników niech będzie fakt, że merytoryczni pracownicy WDK, a jest ich 30 osób, wyjeżdżają w teren województwa łącznie 1800 razy w ciągu roku.

— I na czym polega ich praca?

— Na pomocy społecznemu ruchowi kulturalnemu, amatorskiemu ruchowi artystycznemu, na przygotowywaniu kadr nowych pracowników i działaczy kultury. Przecież w województwie lubelskim samych tylko domów kultury, podlegających Ministerstwu Kultury i Sztuki, jest 59... Bardzo ważną rolę spełnia Oficyna Poligraficzna WDK; drukuje się tutaj liczne wydawnictwa metodyczne, programy, scenariusze imprez, materiały repertuarowe, informacyjne itp. dla potrzeb ruchu kulturalnego i zespołów amatorskich. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że specyfika budynku, w jakim mieści się WDK, bardzo utrudnia albo wręcz uniemożliwia wiele form naszej pracy. Jest ciasno, brak jakiegokolwiek sali widowiskowej, brakuje sal na pracownię artystyczne, odpowiednich pomieszczeń dla Oficyny Poligraficznej. Można tak wylecieć w nieskończoność...

— A macie przynajmniej jakieś nadzieje na zmianę lokalu?

— Absolutnie żadnych. Taka jest prawda.

— Jeśli nie ma absolutnie żadnych perspektyw na inną siedzibę, to czego wam życzyć z okazji jubileuszu? Czegoś takiego, co miałoby szanse powodzenia...

— Może przede wszystkim dalszego rozwoju ruchu społeczno-kulturalnego. Także promocji amatorskiego ruchu artystycznego, zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. A jest to całkiem możliwe, jako że blisko współpracujemy z Międzynarodową Organizacją Sztuki Ludowej LOV przy UNESCO.

Rozmawiał: M. D.

Archiwum mistrzów anegdoty

W Mediolanie po pierwszym przedstawieniu opery „Stroka złodziejem” Gioacchino Rossiniego, który osobiście dyrygował orkiestrą, publiczność tak była oczarowana muzyką, że oklaski i wywołania autora trwały bardzo długo. Rossini wychodził wielokrotnie przed kurtyną i kłaniał się głęboko publiczności.

— Prawdziwy triumf święcisz dziś, mistrzu — rzekł do niego jeden z solistów.

— Tak, ale co będzie jutro z moim kręgosłupem po tej gimnastyce? — odrzekł z rozbrajającym uśmiechem Rossini.

*

Wielki pisarz francuski Honoriusz Balzac cierpiał na uporczywą bezsenność. Pewnej nocy, nie mogąc zasnąć, usłyszał zbliżające się w jego stronę ciche kroki. Nie poruszył się. Złodziej, wszedłszy do pokoju, zbliżył się do biurka pisarza i próbował przy pomocy wytrycha je otworzyć. Na co Balzac zareagował histerycznym wprost śmiechem. Przestraszony złodziej odskoczył od biurka i zapytał:

— Z czego się pan tak śmieje?

— Z ciebie, nieboraku — odrzekł pisarz. — Musisz być skończonym osłem, żeby szukać po nocy w szufladzie mego biurka tego, czego ja w dzień nie mogę znaleźć!

*

Wolterowi zadano kiedyś pytanie:

— Co jest cenniejsze: wiedza czy bogactwo?

— Wiedza — odpowiedział wielki myśliciel.

— Jeżeli wiedza jest cenniejsza, to dlaczego tak wielu mędrców stoi u wrót bogaczy, a żadan bogacz nie wy staje u wrót mędrców?

— Uczni — odrzekł na to Wolter — znają bardzo dobrze wartość pieniądza, ale bogacze nie znają wartości wiedzy.

*

Trzecia żona poety angielskiego Mil-
tona, córka Minshalla z Namptwich
w Cheshire, miała bardzo uciążliwy
charakter. Była jednak piękna i obdar-
zona prześliczną cerą. Pewien
szlachcic francuski, odwiedzając auto-
ra „Utraconego raj”, powiedział mu:
— Panie Milton, żona pańska ma
w sobie wdzięk i świeżość róży!

— Niestety — odpowiedział poeta —
jestem ślepy i czuję tylko jej kolce!

Wyszperal:
Ryszard Dunin

dzień” (Freitag, Friday). Chrześcijaństwo wszak narodziło się nie opodal.

Wąskie kamrowe uliczki jeszcze pozabawione ruchu. Wielu pracowników odsypia wczesne wstawanie. Ale w stołówce już ruch. Przy magnetowidzie kręci się odpowiedzialny k.o.-wiec. Przygotowuje wieczorny seans. Prze-waża porno, to z gatunku hard-core, i filmy sensacyjno-kryminalne. W odbiorze przeszkadza nieco nieznanostwo języka (filmy w wersji oryginalnej), najmniej jednak przy tych pierwszych. Docierają tu za pośrednictwem zachodnich kontraktowców lub rozmilowanych w seksie Arabów. Drzwi świetlic są podczas projekcji szczelnie zamknięte, także okienka zasłania się kotarami. To ochrona przed policyjną załogą kampu. Próby jej demoralizacji są surowo zakazane. Każdy film najpierw ogląda kadra w bardzo ści-
słym gronie.

Alejkę są wysprzątane, a z niektórych domków poprzez cienkie ścianki dobiega bulgotanie wody. Załoga szykuje się do weekendowej zabawy. Do kaju pana Grzesia przyjechała żona. Z tej racji będą wiec na kampie trzy bankiety. Drugi u pana Jurka. Pan Jurk chodzą oszołomiony od dnia swego przyjazdu. Zanim wkroczył na pokład IL-a, odbył raz kiedyś wycieczkę do Warszawy. Niepojęta inność świata do którego rzucił go laskawy los, przekroczyła od razu zdolność jego percepcji i stewardesa sama mu-
siała przypiąć go do fotela przed zejściem samolotu do lądowania. Równowagi duchowej już nie odzyskał. Trzeci bankiet odbędzie się w budyneczku

niemieckim. Szef kuchni wraz z pomocnikiem znoszą już do salonu wik-
tuły. Do tej wieczery zasiadają tylko patrycjusze.

Między domkami szwendają się obozowe psy. Całe ich watahy można spotkać w pobliżu ludzkich siedzib. Stanowią także element krajobrazu miejskiego, kręcąc się po bazarach, w zakamarkach między domami, na dzie-



dzificach wyburzonych domów, jak w średniowiecznej Europie. Wyglądnie i na wpół dzikie mogą być niebezpieczne dla człowieka. Niedawno znaleziono za kempem resztki arabskiej kobiety; kości i płachtę czarnego materiału.

Budzi się Ulica Prominentów. Tak nazywa ją załoga Mieszkała przy niej: kierownik zastępca pełnomocnik Polimexu, tłumacz, lekarz budowy, in-

żynierowie. Nie wszyscy. Niektórzy z tytułami chętnie pracują fizycznie. Tu-
taj nikt nie walczy o zaszczyty. Walczy o przetrwanie. Każdy dzień to dziesięciokrotna porcja złotych w stosunku do kraju i do czarnego rynku. Argument: „bo cię odeślę do domu” hamie każdy odruch niechęci. Do kierownika wszyscy się uśmiechają. Jedyne kryterium — dewizowy zysk — wkłada w jego ręce imperialna władza. Ale do domu też tęsknią, choć tak bardzo boją się powrotu. Nowo przybyłym wrywa się bagaż, by dobrać się do listów; nocą nasłuchuje się ledwo słyszalnej Warszawy na długich falach, a sfabrykowane plotki dowcipnych kolegów o żonionych romansach wnągą zawiesz do tragedii (kilka przypadków samobójstw). Może to dlatego pierwszym słowem, o które pytano tłumacza, były drożdże.

Aparaturę się ciepło, ale to walka z wiatrakami. Butelka whisky czy jor-
dańskiej wódki kosztuje słono (6 traci-
kich dinarów razy 3,37 transferowego dolara). Najlepiej idzie przywoźny spirytus. Panią Basię żonę pana Grze-
sia, obejrzano już dokładnie przy po-
silkach Czecha ja jeszcze tylko chwy-
tanie przez miejscowych za ręce i po-
klepywanie po okrągłościach w ruch-
liwym tłoku miasteczkowych ulic. Z
białymi dziewczynami wolno wszyst-
ko Polki są szczególnie łatwe. Taką
opinie przywożą od nas arabscy stu-
denci. Za zbyt śmiałe spojrzenie na a-
rabską kobietę grozi kalambusz (wle-
wienie). I tak byłaby to najniższa ka-
ra.

Zapalają się obozowe latarnie. Męż-
czyźni wdziewają się w wyjściowe ub-
rania. Z domków dobiega muzyka. Jedyna dostępna w tym kraju dla cu-
dzoziemca rozrywka — popijawa —
właśnie się rozpoczęła. Dzieci z sasię-
dniej wioski zaglądają przez siatkę. Czasami spluną na nieostrożnego prze-
chodnia. Seans wideo także się rozpo-
czął. Pierwsze toasty są szybkie. Trze-
ba zgłuszyć wyobcowanie, nabyte lub
wwiezione kompleksy pełna niepew-
ności rozłąkę, zwykły przesył wido-
kiem wciąż tych samych gęb. Spory
bywają tu ostre, a pięści twarde. Ma-
le boisko do siatkówki to niewielka
szansa rozładowania. Z niemieckiego
kampu dobiega dawno nie słyszany
głos Heleny Majdaniec. Ktoś przywiózł
kasety starych hitów. Toczą się opo-
wieści o czasach młodości. Śmiech pani
Basi drży w nieruchomym powietrzu.
Policjanci podsuwają się bliżej kam-
pu. Jakiś samochód pedzi w góry na
sygnale. Jakieś grupki szepczą na
trawnikach. Czwartkowa noc zawsze
żyje. Nieraz dopiero świt spędy ucztu-
jących. A potem długi niespokojny
sen i wytracający z rytmu barówki
piątek-niedziela. Ten dzień snuje się
na straty. Czasami tylko gruchna w
którymś domku „Czerwone maki”. To
poprawiny.

A nad samotnym kamperem wibruje
monotonny, szczekliwy głos muzyna.
Ludziom śnią się polonezy i super-
glazura w łazience.

kamera

Straszliwy jubiler czyli rzecz o percepcji

AUTOR polskiego filmu sensacyjnego „Mokry szmal”, Gerard Zalewski, stwierdził w wywiadzie dla „Filmowego Serwisu Prasowego”, że stara się bardzo poważnie traktować widza, szczególnie gdy należy on do innego pokolenia. „Mam na myśli — mówił — uczniów szkół licealnych, zawodowych, a także studentów, ale nie członków DKF-ów, lecz przeciętnych widzów kinowych”.

Otóż nie jestem pewien, czy „uczniowie szkół licealnych” (oraz innych) nie woleliby raczej oglądać czegoś w rodzaju „Francuskiego łącznika”. I mam tu na myśli nie jakiegoś tam zachodnie, wstrętne kapitalistyczne, gangsterskie teledramy, ale po prostu dobrze zrobiony film akcji, z przejrzystą, zrozumiałą dla widza fabułą oraz logicznymi, konsekwentnie wynikającymi i łączącymi się sytuacjami. Uczniowie szkół licealnych, a nawet uczniowie szkół stopnia podstawowego, po lekcji kina, jakie wynieśli chociażby z całej serii „gwiazdnych przygód” księżniczki Lei i Hana Solo, potrafią dzisiaj dość łatwo odróżnić dobry obraz filmowy od marnego. Niezależnie od te-

go, czy fabuła umiejscowiona jest w scenarii Nowego Jorku, czy też Parczewa albo Radzyna Podlaskiego. Fakt, że Gerard Zalewski dokonał swoistego testu „na zainteresowanie” filmem wśród trzydziestu młodych ludzi, z których „jedynie czterech widzów wyraziło się o filmie sceptycznie”, w niczym nie zmieni moich własnych obserwacji, że ani młodzież licealna, ani studentka jakoś nie bije się pod kinami o bilety na „Mokry szmal”.

Ale może ów brak młodzieżowego entuzjazmu dla „Mokrego szmalu” wynika z tego samego, co nurtuje dziennikarza „Filmowego Serwisu Prasowego”? „Filmowa logika wydarzeń — wtrąca on w pewnej chwili — jest w niektórych momentach naciągana. Niejednokrotnie widz musi zaakceptować zdumiewający spłot wypadków”. „A jednak jestem w stanie udowodnić — replikuje twardo reżyser — że zdarzenia są ze sobą zgodne i wzajemnie z siebie wynikają. Może — dodaje jednak — niektóre z nich zostały przedstawione w niedobrym dla uwagi widza momencie percepcyjnym i przez to wydawać się mogą przypadkowe”.

No i proszę, wszystko jest jasne jak słońce! Kiedy oglądałem „Mokry szmal”, moja uwaga znalazła się akurat w „niedobrym momencie percepcyjnym” i to jest wytłumaczenie, dlaczego nie mogłem polapać się w wielu miejscach, o co chodzi w filmie. Bo gdybym znajdował się w „momencie” odpowiednim, to by mi percepcja grała jak orkiestra na defiladzie i wyszedłbym z kina zachwycony...

Ale znowu: jeżeli potem, czytając w „FSP” streszczenie fabuły „Mokrego szmalu”, nadal nie mogę do końca doszukać się konsekwencji w ciągu przedstawionych zdarzeń i wypadków, to komu tutaj percepcja nawaliła: mnie czy też redaktorowi Markowi Drabikowi, kiedy dokonywał owego streszczenia?

No bo tak: bez trudu udaje mi się odczytać główną ideę „Mokrego szmalu”, jako filmu, hm, quasi-propagandowego. Uzmysławiającego dosadnie młodym ludziom, że jeśli już bliska osoba popadła (przez swą młodzieńczą niefrasobliwość) w tak zwaną kolizję z prawem, należałoby natychmiast udać się do organów ścigania po pomoc. A nie — tak jak tutaj — prowadzić samemu dochodzenie wśród świata przestępczego, bo to się zawsze źle kończy dla „zainteresowanego”, i wreszcie uczciwy detektyw-amator topi się na śmierć w basenie portowym, a grandusy, zbiry i dranie szczęśliwie (dla siebie) unikają kary.

Podoba mi się też nowatorskie założenie, że brat dobry i uczciwy kocha brata upadłego i gotów jest na wszystko, nawet na własną śmierć, byle go tylko uchronić przed odpowiedzialnością prawną (niech tamtego leja bandziory, niech mu rozkwaszają gębę, wybiją oko, niech go wiaza — dobry brat, w trosce o niego, „nie da znać na milicję”). Zachwycony także jestem pomysłowością scenarzysty, z jaką rysuje on demoniczną sylwetkę jubilera-prywacza (I) z gdańskiego Starego Miasta; nie tylko robiącego legalnie wielki szmal w swej pracowni biżuterii z bursztynu, ale jeszcze na dodatek korzystającego z usług miejscowych młodych przestępców w celu zdo-

bywania surowca. I to — nasyłając ich na współpracowników wstrętnego dyrektora prywatnej (!) firmy, ponurego (choć eleganckiego) draba po pięćdziesiątce, trudniącego się — poza prowadzeniem własnego interesu — przewalaniem (dokąd?) nielegalnie skupowanego bursztynu. Cieszy mnie niewymownie kiedy dyrektor napuszcza z kolei swoich zbirów na straszliwego jubilera Lasonia (choć nie bardzo mogę się już tu polapać w logice akcji niszczenia jubilerowego dobytku). A dostają gęsiej skórki z wrażeń, gdy dowiadują się, jak łatwo porwać pacjenta ze szpitala, podając się do prostu za jego rodzinę.

Co do zarzutów. Po pierwsze — nie mogę zrozumieć, dlaczego reżyser — gdy uroczą dziewczyna zdejmując z siebie nocną koszulę i wchodzi pod prysznic z głównym bohaterem, aby się z nim razem namydląć — robi cięcie montażowe i przechodzi do innej sceny? Po drugie — po co bohater filmu nakłania swego przyjaciela-fotografika do zrobienia serii reporterskich zdjęć członków „bursztynowego gangu”, w trakcie przekazywania „towaru”, skoro nie ma zamiaru zawiadomić milicji o tym, co się wydarzyło z jego bratem? Po trzecie — dlaczego bohater ucieka, jak kto głupi, autem poprzez ulice Gdańska, aby w końcu dać się zepchnąć przez ścigającego do kanału portowego; i po co dyrektor-gangster z taką zajadłością go goni, skoro złapanie uciekającego nic by mu przecież nie dało?

Mógłby na to może odpowiedzieć reżyser autorytatywnie, słowami ze swego wywiadu: „W tym gatunku jest to dopuszczalne. Nie mamy bowiem do czynienia z filmem psychologicznym, w którym fakty muszą być bliższe prawdziwej społecznej czy psychologicznej. [...] Pewne uproszczenia są konsekwencją przyjętej hierarchii wartości. [...] Nie żałuję pewnych niedociągnięć, traktuję je jako «koszty uboczne zdarzenia» i bardzo się cieszę, że ten film powstał”.

Autor niniejszego felietonu cieszy się znacznie mniej.

M. D.

Carmen śpiewa w kinie

KIEDY zapytano Francesco Rosiego, dlaczego bez wahania zgodził się na nakręcenie „Carmen”, odpowiedział, że „zrobienie filmu z opery jest wyzwaniem rzuconym kinu, ponieważ trzeba dać kształt wizualny każdej melodii, każdemu rytmowi, każdej nucie. Widz winien być przekonany, że nie istnieje możliwość innego obrazu dla zilustrowania określonego momentu muzycznego”. Niewątpliwie to bardzo trudne zadanie, zważywszy, że wielcy reżyserzy od kilku lat dopiero zaczęli skłaniać się ku nowemu gatunkowi, jakim jest film operowy. Ingmar Bergman sfilmował „Czarodziejski flet”, Joseph Losey — „Don Giovanniego”, Franco Zeffirelli — „Trawiatę”.

Rzecz jasną jest, że w przypadku takich indywidualności nie mogło być mowy o zwykłym przeniesieniu spektaklu ze sceny na ekran. Dlatego też stworzone dzieła filmowe były w większym lub mniejszym stopniu nowym spojrzeniem na operę. Ożywczy prąd przydaje się każdej sztuce. Opera także przecież przeszła znaczną ewolucję od czasów, o których wspomina Walter Haas w książce „Słowiki w aksamitach i jedwabiach”: w 1722 r. ludzie będący na sali „podczas nudnych recytatywów zaciągali w łóżach firanki i oddawali się przyjemnościom i rozkoszom. Niektóre tawarzystwa grały w karty, inni mlaskali przy makaronie i winie, ladies opychały się lodami. Dopiero, kiedy Cuzzoni miała swoje brawurowe wejście albo gdy puciołowaty kastrat Senesino gulgotał przez całą minutę swoją kadencję, ani razu nie zacerpnął przy tym oddechu, firanki łóż znowu się rozsuwały”. Brzmiało to nieprawdopodobnie, ale było możliwe tylko dlatego, że opera spełniała zupełnie inną funkcję. Oglądało się gwiazdy i to było najważniejsze. Dla współczesnego widza ważna jest całość spektaklu, a więc wykonawstwo, aktualność, dramaturgia, muzyka.

Oczywiście, reżyserując operę, twórca bez przerwy musi mieć świadomość pewnych ograniczeń, jakie stwarza zamknięta przestrzeń sceniczna, ograniczoną dynamiką postaci, konieczność użycia symbolu. Mając do dyspozycji środki filmowe, można operę ożywić, nadać jej cechy bardziej realistyczne, jednym słowem zaspokoić jej ostateczną potrzebę. Przecież właśnie z tej potrzeby narodził się m.in. weryzm w sztuce operowej. Film operowy nadaje mu właściwe proporcje.

Trudno jest posługiwać się przykładami, bo widz polski, skazany na walki karate, tudzież

inne walki na pięści, nie miał do tej pory możliwości obejrzenia żadnego ze wspomnianych wyżej filmów. Ograniczę się więc do jednego tylko, który jak meteor przemknął przez polskie ekrany



Na zdjęciu: Julia Migenes-Johnson jako Carmen w filmie F. Rosiego.

i nie wiadomo, kiedy pojawi się znowu, choć czasu mamy dużo, bo kilka lat, aż do wygaśnięcia licencji.

Znowu oddajmy głos reżyserowi Francesco Rosiemu: „Zgodziłem się reżyserować także dlatego, że chodziło o »Carmen«. Ta opera nie przypomina przecież żadnej innej. Ma w sobie tyle swobody a jednocześnie jest niesłychanie aktualna”. Tak, ta historia niezwyklej miłości, która przeradza się w dramat, trwa od wieków. O tym, że nieważne, kiedy i gdzie się rozgrywa, świadczy chociażby sukces filmu nakręconego w USA w 1954 r., znanego w Polsce pod tytułem „Czarna Carmen”. Był to oryginalny pomysł przeniesienia opery nie tylko ze sceny na ekran, ale i z „operowej” Hiszpanii do „filmowej” Ameryki, ze środowiska cygańskiego do murzyńskiego i z roku 1820 do okresu drugiej wojny światowej. Nie była to zresztą jedyna wersja, można by wymienić co najmniej kilkanaście, ujętych w formy baletu, filmu, spektaklu teatralnego.

Ale trzeba przyznać, że Rosi jest oryginalowi najbliższy. Zachował nawet pierwotną formę opery komicznej (fragmenty śpiewane przeplatają się z mówionymi), która zresztą przyczyniła się do klęski twórcy „Carmen”, francuskiego kompozytora Georges Bizeta. Według obyczajów panujących w ówczesnej Francji, dzieło takie mogło być bowiem wystawione jedynie na scenie paryskiej Opery Komicznej, do której chodziła publiczność łaknąca rozrywki i szczęśliwego zakończenia. Carmen umiera zaszytym przez ukochanego, a więc premiera, która odbyła się 3 marca 1875 r., okazała się fiaskiem. Mówi się, że to był cios dla kompozytora, zmarłego w trzy miesiące później, w wieku 37 lat. W rzeczywistości Georges Bizet chorował na „nieznana” chorobę gardła. Był może ewentualny sukces „Carmen” przedłużyłby jedynie jego życie o kilka miesięcy.

Mit o śmierci Bizeta podtrzymuje się dla przyciągnięcia publiczności, która jakby rzadziej chodzi do opery. Ze te zabiegów są zbyteczne, można przekonać się oglądając film Rosiego. Opera „Carmen” nabrała barwy dzięki autentycznej scenarii, wspaniałemu gwiazdorstwu którego nie trzeba śledzić przez lornetki, wreszcie dzięki „muzycznemu” posługiwaniu się kamerą. Film „Carmen” zyskał na wartości dzięki muzyce i możliwości zgromadzenia znakomitych wykonawców z całego świata na wspólną ucztę duchową z publicznością. Więc trochę żal legendarnej Carmen, która śpiewa w Polsce tak cicho, że trudno ją usłyszeć.

Irena Filus

Nieprzeciętny Collins

FASCYNUJĄCY kompozytor, wirtuozyczny perkusista, wokalista, aranżer i producent. Nie wiadomo, którego określenia należałoby użyć do oddania prawdziwego oblicza Philpa Collinsa. Chyba wszystkich wciągnęła jego muzyka, która w sposób nieoczywisty, ale niezwykle skutecznie, przetrwała w nagraniach Briana Eno, Roberta Planty, Fridy, Johna Martyna, Erica Claptona, Ala Di Meoli, Stephana Bishopsa, Stinga, Adama Anta i Philpa Baileya marzą mu się jeszcze płyty z Earth, Wind and Fire oraz boską Tiną Turner. Kto wie, czy do nich nie dojdzie. Zaskakujące jest, jak, przy nawale zajęć, starca mu czasu i energii na pracę z macierzystą grupą Genesis oraz solowe płyty i koncerty. Bo też Phil jest muzykiem niezwykle formatu. Lubię słuchać jego piosenek z solowych albumów, bo odnajduję tam kilkanaście wspaniałych tematów wykonanych z iście collinsowską precyzją. Nagrania te imponują zresztą wielu muzykom, fanom i recenzentom muzycznym. Szaleją za nim głównie młodzi odbiorcy, rozsmakowani w melodyjnych formach rocka.

Prawdziwa kariera Phila zaczęła się niegdyś, od ogłoszenia w prasie. Po niepowodzeniach z nie mającą szans na przebieg formacją Flaming Youth dowiedział się przypadkowo o poszukiwaniach perkusisty wrażliwego na akustykę. Został doceniony przez uczestniczącego w przesłuchaniach szefa firmy „Charisma” i znalazł się w zespole Genesis. Artystyczne uzdolnienia zdradzał już w wieku dziecięcym, więc nie widział dla siebie innej pracy, jak właśnie za bębniem. W Genesis znalazł się w 1970 roku i nie przypuszczał, że czeka go dni wyjątkowej pracy. Z zespołem, prowadzonym twarzą ręką przez wokalistę Petera Gabriela nagrał Phil siedem longplayów.

Nie była to muzyka, którą nosił w sercu. Collins, zafascynowany „czarną” muzyką w klimacie Weather Report (a więc typowy jazz-rock), z trudem mieścił się w pompatycznych pomysłach Gabriela, stawiającego na pierwszym planie rockowe symfonie. Dlatego też jako naturalną „odtrutkę” utworzył w 1975 roku jazz-rockową orkiestrę Brand X. Nagrywał z nią, a nawet koncertował w Ameryce, nie rezygnując z obecności w Genesis. Przez lata całe produkował się głównie jako perkusista, czasem tylko śpiewający w chórkach. Po odejściu Gabriela zajął jego miejsce za mikrofonem i nie pozwolił już nigdy odebrać sobie funkcji wiodącego wokalisty. Wyszło to oczywiście zespołowi na dobre, bo Phil ujawniał nieprzeciętne zdolności. Dzięki niemu kompozycje stały się bardziej przejrzyste, zróżnicowane melodycznie i stylistycznie. Nie zatem dziwnego, że wespół z Collinsem — wokalistą Genesis nagrywał wyśmienite płyty i święcił światowe triumfy. One pozwoliły Philowi uwierzyć we własne siły i przystąpić w roku 1981 do rejestracji samodzielnej płyty „Face Voule”.

Krańcem różnił się zasadniczo od produkcji zespołowych i zaskoczył autentycznie wielu fanów. Odkrył przed nimi nowy, wspaniały świat dźwięków. „Face Voule” z rewelacyjnym kawałkiem „The Air Tonight” pokazał Collinsa jako twórcę operującego znacznie szerszymi horyzontami, niż jego koledzy z Genesis — Mike Rutheford i Tony Banks. Dla wzmocnienia efektu nagrania zaprosił Collins do współpracy w studiu światłych fachowców — gitarzystę Erica Claptona, basistę Alphonso Jonsona (z Weather Report), saksofonistę Ronniego Scotta, skrzypka El Shankara i najlepszą sekcję dętą świata z grupy Earth, Wind and Fire.

Przyjęcie, jakie zgotowano kompozytorowi, wokaliście i instrumentalistom w jednej osobie, przeszło najniezwyklejsze oczekiwania, zaś płytę uznano konglomeratem najlepszych osiągnięć brytyjskiej i amerykańskiej muzyki rozrywkowej.

Kiedy w maju 1983 roku zdecydował się nagrywać drugi, solowy krążek „Hello, I Must Be Going”, miał już ugruntowaną pozycję na światowym rynku. Druga płyta była równie udana co pierwsza. Phil nadal nagrał nowe barwy i odkrył przed słuchaczem wiele subtelnych pomysłów aranżacyjnych. Nie ograniczył się tylko do śpiewania. Grał na fortepianie, perkusji, trąbce i instrumentach klawiszowych. Kiedy występował u boku kolegów z Genesis, nikt nie podejrzewał go o taką wszechstronność i rozmach kompozytorski. Teraz nabierał wigoru i finezji. Sukces komercyjny płyty zwrócił uwagę innych muzyków na Collinsa-sessionmana i producenta. Udzielał się więc na płytach wielu znaczących postaci, przyczyniając się swoimi bębniami i pomysłami aranżacyjnymi do powodzenia dokonywanych nagrań.

Phil zaskakiwał werwą. Znalazł czas aby napisać tytułową melodię do filmu Taylora Hackforda „Against All Odds”. Wśród rozlicznych zajęć i podróży studyjnych największą sensację wywołała jego współpraca z wokalistą Earth, Wind and Fire — Philipem Baileym przy realizacji longplaya „Chinese Wall”. Choćby dlatego, że w przekonaniu krytyków i tzw. branży Collins nie mógł udźwignąć ciężaru czarnej muzyki soul. Mimo obaw wspólne nagrania z Baileym wypadły wyśmienicie, a przebieg tego niezwyklego duetu „Easy Lover” trafil na szczyty notowań bestsellerów po obu stronach Atlantyku.

Występy z Genesis, gorąco oklaskiwane przez publiczność wielu krajów, nie osłabiły w Collinsie zapasu do dalszych prób solowych. W ubiegłym roku nagrał on i wydał trzeci, bardzo ciekawy krążek „No Jacket Required”, zawierający szlagierowe piosenki — „One More Night”, „Sussudio” i „Take Me Home”. Utwierdził tym samym młodych fanów w przekonaniu, że wbrew temu, co dyktuje elektroniczna moda, potrafi być wciąż odkrywczy i dyktować własne reguły gry. Taka sztuka udaje się tylko niektórym indywidualnościom estrady.

Na koncertach robi rewelacyjny show w amerykańskim stylu, co nie omieszkuje podkreślać najbardziej surowi recenzenci. W roku ubiegłym miał kilka takich popisowych występów. Do najbardziej spektakularnych należał udział w słynnym „Live Aid” na pomoc dla głodującej Afryki. Phil śpiewał na stadionie Wembley solo i w duecie ze Stingiem, aby później wsiąść do samolotu i zdążyć na koncert na stadionie im. Kennedy’ego u boku reaktywowanej na tę imprezę grupy Led Zeppelin.

Ten śpiewający perkusista urodził się w Londynie 31 stycznia 1951 roku. O swoim życiu prywatnym mówi niezbyt chętnie i rzadko któremu dziennikarzowi uda się wyciągnąć cokolwiek na ten temat. Jest to ponoć efekt głębokiego rozczarowania, jaki przeżył po rozwodzie z małżonką. Dziś mieszka u boku innej uroczej pani i jest mu z tym dobrze. Na estradzie nie jest mężczyzną zbyt eleganckim. Lysiejący, z nie ogoloną twarzą i niezbyt modną garderobą, mógłby wydać się kimś z obsługi technicznej, gdyby nie magia głosu. Oryginalna barwa i perfekcyjna technika czynią z niego wspaniałego showmana, podziwianego w każdym niemal miejscu przez białych i czarnych słuchaczy. Nie wiem, czy ktoś potrafi mu dorównać.

Istvan Grabowski

Listy do „Komeny”

Szanowna Redakcjo!

„Sztandar Ludu” (z 10 marca) wydrukował recenzję T. Księskiej (pt. „Potrzeba stałej edukacji”) z koncertu symfonicznego w Filharmonii Lubelskiej. Tekst ten, pełen autorytatywności w zakresie sądów i ocen, jaka od kilku lat pojawia się w recenzjach T. Księskiej, stał się powodem opublikowania w „Sztandarze Ludu” (z 21 marca) mojego krótkiego artykułu „Krytyka sztuka poszukiwana”. Polemika ta dotyczyła nie tylko problemu krytyki muzycznej, ale również negocjacji, wyrażonej przez T. Księską, lekceważącą ocenę interpretacji solisty w Koncercie fortepianowym b-moll Czajkowskiego. Odpowiedź T. Księskiej znalazła się w tekście: „A jednak potrzeba stałej edukacji” („Sztandar” z 28 marca). Poniższa polemika, której dźwięk odmówił sekretarz redakcji „Sztandaru”, jest nie tyle próbą kształtowania nowych kryteriów krytyki muzycznej, ile obnażeniem wybujałego subiektywizmu T. Księskiej, zaprawionego kwasem uprzedzeń i antypatii.

Edukacja krytyki

Sąd krytyka wydany o dziele, o dziele mówi mało, o krytyku wiele. (T. Kotarbiński)

SZUKAJĄC sensu krytyki muzycznej, trudno pominąć liczne grono felietonistów (co tydzień raczących swych czytelników informacjami o życiu muzycznym), radiowych sprawozdawców muzycznych czy komentatorów telewizyjnych. Do miana krytyki pretendują wszelkie publikacje — od felietonu muzycznego, poprzez fabularną wypowiedź w piśmie muzycznym, do książki o muzyce współczesnej. Ale czy wszyscy „piszący o muzyce” uprawiają krytykę muzyczną sensu stricto?

Z pewnością stan zdumienia T. Księskiej, wyrażony w felietonie: „A jednak potrzeba stałej edukacji” („Sztandar Ludu” z 28 marca), a wywołany moją polemiką, był powodem nieuważnego przeczytania tekstu: „Krytyka sztuka poszukiwana”. Księska pozwoliła sobie bowiem na tak znaczną deformację mojego artykułu, dotyczącego istoty krytyki, że zażywała dwa wykluczające się zdania jako jedno, wybierając dogodnie dla niej sformułowanie. Są pewne granice zawodowej etyki, których przekroczenie stawia dziennikarza w trudnym położeniu.

Z mojego tekstu jasno widać, że wrażenia estetyczne krytyka, których przedmiotem jest zjawisko

artystyczne (a więc dzieło muzyczne i proces jego kreowania na estradzie), poddane analizie, a potem przedstawione w formie pisarskiej, prowadzą do oceny owego zjawiska, co stanowi właśnie cel krytyki muzycznej. Taki sens krytyki muzycznej nadali klasycy tej sztuki — R. Schumann, E. Hanslick; muzykolodzy — A. Chybiński, K. Stromenger; współcześnie — L. Erhardt, J. Weber, B. Pocięj i inni.

Nie było moim zamierzeniem ustalanie hierarchii gatunków publicystyki muzycznej, ale nie ulega wątpliwości, że poziom tych wypowiedzi jest różnorodny. W uprawianej przez T. Księską publicystyce, zawierającej zarówno informacje o utworze, jak i ocenę wykonania, nie znajdujemy twórczej krytyki dotyczącej samego dzieła, stylu, praktyki wykonawczej. Wprowadzenie w recenzjach kilku informacji encyklopedycznych, bądź wziętych z przewodników koncertowych czy operowych, dygresji pełnych skojarzeń przymuzykanych i pozamuzycznych (np. recenzje „Przed nocą”, „Ostatni akord”, „Czajkowski”), jest wystarczające jedynie dla potrzeb felietonu w gazecie codziennej.

Niewątpliwa pasja T. Księskiej pisanie o muzyce to zjawisko wyjątkowe w naszym środowisku. Czy dlatego recenzentka wydaje się być zaskoczona kwestionowaniem jej wypowiedzi? Skoro od 12 lat ma możliwość wydawania często skrajnych ocen (np. recenzje „Bał w operze”, „Filharmonia rzeszowska”)...

Lektura recenzji T. Księskiej odsłania pisarstwo coraz bardziej autobiograficzne, egzaltowane i autorytarne. Jasnym jest dla mnie, że krytyk, który zastrzega sobie nietykalność, staje w obronie zasady wykluczającej sens jego własnego zawodu. Wprost niesmaczna forma repliki: „A jednak potrzeba stałej edukacji” nasuwa podejrzenie, iż jej autorka krytyki wytrzymać nie może i że brak jej argumentów na poparcie własnego zdania.

Pomijając tu niejasny wywód dotyczący „czystości tekstowej”, wprowadzający zupełnie nierozważnie termin: „faktura pianistyczna” (chodzi zapewne o fakturę fortepianową), pomijając jakże niezręczne wyrażenie: „obiektywnie trudne figuracje” (stopień trudności jest wartością subiektywną), dowiódł może myślności sądów recenzentki nagranie magnetofonowe wykonania Koncertu fortepianowego b-moll Czajkowskiego z 8 marca w Filharmonii Lubelskiej (akurat kwestionowane przez Księską miejsca są absolutnie czyste tekstowo!).

Większość utworów recenzowanych znana jest krytykom z nagrań płytowych i tylko głęboka wiedza oraz pokora wobec sztuki pozwala widzieć róż-

nicę między płytą a jednorazową kreacją estradową. Poddana nadmiernej emocji percepcja krytyka, który w swoim pedagogicznym zacięciu poucza, przestrzega i tropi błędy, nie obejmuje całości dzieła.

Jest rzeczą nieuchronną, że krytyk, który funkcjonuje w środowisku jako muzyk, pedagog, prelegent, staje się zależny od swoich emocji, szczególnie w przypadku oceny kolegów. Zapewne dlatego też nie czytaliśmy recenzji z następujących koncertów: Trio perkusyjnego z C. Świecą i prawnikiem utworu lubelskiego kompozytora M. Mazurka, Duetu kameralnego B. Czerkies i M. Szermińskiej, koncertu kameralnego B. Czerkies, A. Mazura i A. Bereżyńskiego, kreacji M. Szermińskiej w koncercie fortepianowym d-moll W. A. Mozarta, Tria fortepianowego PFL (Wszystkie te koncerty odbyły się w sezonie koncertowym PFL 1985/86).

Przeglądając lubelską prasę okresu międzywojennego, doceniam nieprzemijającą wartość informacji, felietonów, krytyki muzycznej, dające nam obecnie jedyny obraz życia muzycznego naszego miasta. Za kilkadziesiąt lat podobną funkcję będą spełniały publikacje T. Księskiej Kultura muzyczna Lublina stanie się wówczas interesującym obiektem dla badaczy pod tym warunkiem, że już dziś zadbamy o rzetelną informację wyważone sądy estetyczne i w pełni wiarygodną postawę krytyka, nie pozbawioną wszakże odrobiny niezbędного subiektywizmu.

Anna Krzyżanowska



Rys. Szczepan Sadurski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopelowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasniński (dierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótołów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-16. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unieka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Buch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 253-20. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/I. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-83, sekretarz redakcji 218-83, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 771, 1985-04-13, F-4.

Historia landetna, ale prawdziwa

Ryba w marmoladzie

Ewa Chodkowska

WIOSENNY chłód wdziera się przez nie-
szczelne okna i stale otwarte drzwi. Auto-
busy opóźnione „z przyczyn technicznych”.
Ludzie pozwijani płaczą się pomiędzy sta-
nowiskami a informacją. Pod palmą w kącie paru
chłopaczków podskubuje jedną taką, wyfloczoną,
ładną, młodzieńką. Z baru przekąskowego „Smak”
paruje zapachem bigosu i toalety. Dwie już nie-
młode, na ławce pod oknem, ubrane dostatnio.
Toczki na głowach. Na ramionach jedna dźwiga
nutrie, druga srebrnego lisa ze szklanymi oczkami.

— Zimno, pani?
— No, jak jeszcze! Kto widział w te pore taki
ziab. Musi, że Pan Bóg się już na nas zagniewał.
— Oj, pani, przecie, że nie będzie dobrze. Tak
się teraz ten świat zepsuł.
— Prawda, to prawda, zobacz pani tamte w
zółtym. Kto widział, taka młoda i już się zadaje.
— Aj, bo to jedna teraz. Wstydu wcale nie mają.
U nas w gminie to też była taka... Gosia. No, ład-
na to ona była, nie ma co. Ale cóż, zmarnowała
się, pani, i nie wiadomo, czy jeszcze, co z niej be-
dzie. A podobna do jednej szpikerki.

— Do Loski?
— Ej, nie. Do tej drugiej, co taka zawsze miłut-
ka. Jak miała, a... z jakie 15 lat — znaczy się
Gosia, nie ta szpikerka — to już z nią wszystkie
eleganty u nas wdychali: „Niezła szprycha”, a
potem to znowu mówili: „Ale laska”.

— No, tak. Teraz to taka mowa u tych młodych...
— Nie? Gosia nie była znowu taka, nie z każdym
przecie poszła. Ho, nie była głupia, wiedziała, co
ma. No i maturo też miała. Sama stale mówiła, że
nie będzie się z byle prostakiem zadawać. Naj-
pierw to wzięła pracę na poczcie. Złe jej tam nie
było. Siedziała se w okienku, przy herbatce, zaw-
sze z jakimś alegantym papierosem, i zadbaną
rączką machała tylko na interesantów, jakby się
od much oganiła. O, z rok chyba przesiedziała
na tej poczcie, ale potem podobno sama się wy-
ceniła: „Za ładna jestem i za mądra, żeby znacz-
ki lizać, muszę sobie poszukać pracy w jakimś
porządnym biurze”. Nietrudno jej to nawet przy-
szło, choć u nas nie tak znowu łatwo o posadę
biurową, wiadomo, niejedna by chciała. Gosia
miała chyba szczęście. Akurat prezes Rolniczej
Spółdzielni potrzebował kogoś do księgowości. Ona
w rachunkach była mocna, to i od razu się przy-
jęła.

Grzesio, pierwszy narzeczony Gosi, w straży
pracował, to opowiadał potem, jak to z nią było:
„Siedziała w tym swoim biurze do późnego wie-
czora, a czasem to i wcale na noc nie wróciła.
Stale tylko mówiła, że ma jakieś bilanse, kontro-
le...” Ale przecie Grzesio nie był taki ciemny. Od
razu było wiadomo, o co chodzi. Znalazł se jakąś
porządniejszą pannę. Wtedy to już ładniała z dnia

na dzień, znaczy Gosia... jak to teraz mówią te
młode: „Cluchy, fryzury, bajery, dobra perfuma”.
Futro z lisa najpierwsza sobie kupiła. Aż podobno
ksiądz proboszcz dopytywał, ile to teraz takie
kosztuje. Na co mu wiedzieć takie rzeczy...

No, a matka jej włosy sobie rwała na głowie.
„Oj — powiada — dobre dziecko Gosia była, a
potem tak to się wszystko... tak łajdusy dziewczy-
ne zamotali. Moja córka jest i muszę jej bronić,
bo ktoś ją będzie bronił”. A ja jej na to odpo-
wiedziałem: „Słuchaj, Stefa, święta to ona nie
była. Nie można tać, co było, wszyscy przecie
widzieli”. Ja sama jej kiedyś mówiłam (jeszcze
moja babka powtarzała mnie to przysłowie):
„Gosia, zarobek dupy, nie trzyma się kupy”. Ale
gdzie tam, słuchać nawet nie chciała. Jej się po-
dobno takie alegantkie życie.

— Uroda w głowie jej przewróciła, a to nie
tak łatwo, jak człowiek czego nie wypracuje o
tymi pazurami...

— Oj, tak! Stale tylko powtarzała: „Za ładna
jestem, żeby być garkotłukiem, mnie się marzy
inne życie”. No i wymarzyła sobie, nie ma co. A
czasem to sobie myślę, że jej tak i dobrze, choć
to może grzech tak mówić. Ale i w tym biurze
to nikt jej nie lubiał. Zarozumiała była strasznie.

— No, ale mówże pani, co z nią? Tak zawile
pani opowiadasz.

— Ano, cóż, pani, zmarnowała się dziewczyna
i już. A ten prezes to chce ją podobno teraz jesz-
cze do więźnia wpakować.

— E, gdzieżby! A to za co?
— Oj, nie wiesz pani, jak to jest? Ten prezes,
znaczy się z tej spółdzielni, stary dziad, a jaki
cwany.

— A bardzo stary?
— No, nie tak znowu. Ze czterdzieści pięć może
miał. Opowiadał Gosi, jak to on ją nie kocha, że
się rozejdzie z tamtą swoją pierwszą, co nauczy-
cielką u nas była, i że się z Gosią ożeni, tylko
musi wpierw budowę willi dokończyć. Głupia
dziewczyna i tyle, że uwierzyła takiemu. No, ale
woził ją stale taksówką...

— ... o, to ile to musiał płacić za takie kursy?
Mój zięć jeździ na taksówce w Lubartowie, to
wiem.

— E, nie, on miał swoją taksówkę, znaczy się
chyba fiata. Stale woził się gdzieś po nocy. A to
na tańce do Lublina, a to po kawiarniach, do
Lubartowa, albo jeszcze i gdzieś indziej. No, nie
powiem, miała Gosia wszystkiego pod dostatkiem.
Nieraz w biurze to podobno opowiadała: „A co,
nie będę tu kisać na tej wsi. Kawiarnia, dancing,
kino, tam bywają kulturalni ludzie, inne życie
całkiem”.

— No przecie nie mówiła tak całkiem źle.
— Jasne, że nie całkiem. Ale później dopiero

coś się spostrzegła, że kwity i pieniądze nie bar-
dzo jej się zgadzają.

— Tak, tak... Im w tych biurach, przy rachun-
kowości, to stale się nie zgadza.

— Ech, nie! Ona nie kradła. No, znaczy tak
wprost. Ona najpierw nie wiedziała, że na te
wszystkie uciechy idą pieniądze spółdzielcze.

— No, popatrz pani. Ale co, jednak zamknęła ją?

— A, gdzie tam, jeszcze nie koniec. Zona tego
prezesa znieść już chyba nie mogła wstydu. Bo
to nauczycielka, znana przecie w całej gminie;
wszyscy się z niej podśmiewali. Nie wytrzymała
już kobieta nerwowo. Wpadła któregoś dnia do
biura. Gosie wytrząsała po głowie, wywalała ją
od różnych takich, bluzkę turecką, co miała na
sobie, to jej poszarpała i jeszcze kołczyka złotego
jej wyrwała. Aj, pani, z ciałem prawie, ucho jej
rozcharatała. Gosia się pochorowała z tego wszyst-
kiego. Od razu poszła na chorobowe. Ze dwa mie-
siące nigdzie się nie pokazywała. Wcale nie wy-
chodziła z domu, tyle tylko, co do Ośrodka. A
później ten młody doktor, co do nas niedawno
przyszł, to nawet sam zachodził do niej pare
razy. Podobno z tym uchem coś jej było nie-
dobrze.

A jak już wróciła po tej chorobie do biura, to
prezesa omijała z daleka. Powiedziała, że nie
będzie zadawać się z takim chamem i żeby tu
jeszcze jakaś prostaczka zdrowie jej marnowała,
że ona potrzebuje towarzystwa ludzi inteligent-
nych. A prowadziła się teraz stale z tym dokto-
rem. W biurze opowiadała, że złożyła wypowiedzenie.
Jeszcze tylko do lata tu posiedzi, a potem do Lub-
lina wyjedzie na szkołę jakąś, chyba na studia,
znaczy się. Że jest jeszcze młoda i musi sobie
jakoś życie ułożyć po ludzku.

No i wtedy wyszła ta cała heca z pieniędzmi
w Spółdzielni. Prezes raz dwa się z tego wymi-
gał. Wiadomo, w urzędach same jego kolegi sie-
dzą, i wszystko poszło na Gosię. Stefa, znaczy się
matka Gosi, jeździła do Lublina, do jakiegoś zna-
jomego adwokata, żeby się dowiedzieć, co trzeba
z Gosią zaradzić.

Aż tu któregoś rana, no, nie było już może tak
rano, gdzieś po dziewiątej, idzie sobie Gosia jakaś
nie taka i... z rybą na sznurku...

— ... ech, co też pani?

— No, kiedy mówię, że z rybą... Uwiązała na
sznurku rybę wędzoną, nie wiem, dorsz może. Idzie i
dynda se tą rybą i coś tak sama do siebie mamrocze.
Czekali my akurat na towar pod sklepem, w pare
osób. Lepiej już było jej nie zaczepiać, ale stary
Zelnik, taki humorysta na całą wieś, powiada:
„A cóż to panna Gosia nie w biurze dzisiaj, ino
tak na spacerku”. Ona nic. Ale idzie do nas i tą
rybą dynda. Zmartwieli my wszystkie. Wchodzi do
sklepu, nie nie zważa, że przyjęcie towaru, i tą
rybą prosto w marmoladę, aż się rozpiżęła po
całym sklepie, i woła: „Nażryjta się moim nie-
szczęściem”. I jakby nigdy nie poszła se dalej w
stronę szkoły. Jazdia, sklepowa, chciała ją gonić,
ale co tam, i tak nikt tej marmolady nie kupo-
wał, a jeszcze teraz z dorszem...

Tego samego dnia przyjechało pogotowie, oj
zabrali Gosię, mówią, że podobno do tych psychicz-
nych. A ten doktor, co ona z nim ostatnio...

„Opóźniony, późniejszy autobus do Białej Pod-
laskiej podjedzie na stanowiskooo...ate” — za-
skrzeczało w zdartych głośnikach. Obydwie po-
derwały się jednocześnie, zebrały z ławki eleganc-
kie torby. Z otwartych drzwi powiało ciepłym,
wiosennym powietrzem.

Krzyżówka nr 9 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce
liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści współ-
czesnego pisarza polskiego. Pierwsze litery wyrazów pomocniczych od 1 do 24 tworzą
imię i nazwisko tego pisarza i tytuł utworu. Czarne kratki w diagramie odpowiadają
przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze

- Kazimierzowski statutami sływie — 161. 31. 180. 28. 43. 110. 5.
- kiedyś przenosiło światło — 168. 29. 3. 60. 179. 58. 37.
- związek do reakcji chemicznych — 169. 104. 143. 155. 152. 180. 30. 65. 175.
- najbliżsi zstępni — 14. 167. 77. 22. 47. 84.
- zgon — 15. 27. 4. 107. 187. 149. 111.
- zamiar, chęć — 16. 115. 146. 44. 117. 165. 10. 103.
- członek związku łowleckiego — 9. 114. 150. 105. 34. 25. 39.
- kretyn, idioty — 7. 23. 78. 32. 66. 109. 53.
- wydarzenie — 11. 33. 49. 91. 100. 68. 154. 139. 13.
- żywa istota pozbawiona ruchu — 50. 90. 75. 141. 188. 159. 116.
- zazdrość — 8. 35. 73. 191. 55. 93.
- sąsiedzi z południa — 62. 189. 162. 170. 157. 129. 120.
- nadwodne zadrzewienie — 2. 143. 190. 144. 79. 20. 52.
- między Barwinkiem i Wegrami — 64. 69. 1. 87. 46. 40. 140.
- chęć, apetyt — 24. 98. 41. 133. 176. 17.
- od kłosek z gazetami — 97. 124. 199. 122.
- Beskidzka z pałacem — 12. 136. 70. 130. 147.
- mistrz gastronomii — 89. 81. 166. 200. 92. 156. 83.
- głupota — 21. 158. 181. 118. 63. 57. 138. 183.
- na mleku i baranie — 101. 126. 70. 94. 121. 67.
- wynik nierozstrzygnięty — 178. 185. 151. 171. 134.
- rybackie żniwa — 74. 123. 18. 177. 45.
- żart, ironia — 173. 95. 99. 42. 195.
- widowisko — 26. 38. 85. 194. 182. 48. 19.
- polski i węgierski bohater — 163. 88. 196.
- wodna topiel — 112. 135. 192. 123. 180. 96.
- porządek — 102. 128. 36.
- koc — 15. 6. 172. 82.
- element korespondencji — 71. 54. 59. 132.
- powoduje powódź — 193. 61. 80. 164. 119.
- zdolność maskowania się zwierząt — 108. 131. 56. 184. 197. 88. 174.
- czart, zły duch — 153. 108. 142. 137.
- królowa rzek polskich — 127. 72. 145. 113. 198.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15		
16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	
33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	
50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67
68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84	
85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102
103	104	105	106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119	
120	121	122	123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	134	135		
136	137	138	139	140	141	142	143	144	145	146	147	148	149	150	151	152	
153	154	155	156	157	158	159	160	161	162	163	164	165	166	167	168	169	170
171	172	173	174	175	176	177	178	179	180	181	182	183	184	185	186	187	
188	189	190	191	192	193	194	195	196	197	198	199	200					

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adre-
sem redakcji (skr. poczt. 231, 30-999 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań
rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 9 — SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

... nastawiłem siebie na swoim adapterze kilka płyt z muzyką piękną i myśliczną: Ba-
cha, Haydna, Mozarta i Glucka. Osobom, które nazywam „gluchakami”, niewiele to
powie, bo w tej muzyce jest o wiele mniej decybeli niż muzyki.

Jerzy Broszkiewicz
BRACIA KOZMARZEK, MAGISTER I JA

Nagrodę wylosowała Filomena Miłkowska, ul. Strzelców 17 m. 38, 31-432 Kraków.